Nr. 25. Warszawa, dnia 18 (6) Czerwca 1892 r. Rok XII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin odnowienia przedpłaty.

POLITYKA.

JUBILEUSZ KORONACYI.

Słusznie zauważono, że polityka przedstawia często widoki podobne do spotykanych w ekonomii społecznej. W tej ostatniej znana jest ogromna waga t. zw. „konjunktur,“ tj. układu warunków i stosunków, które rozstrzygają o powodzeniu lub niepowodzeniu przedsięwzięć. Głupiec i partacz, trafiwszy na przyjazne okoliczności, może szybko zrobić wielki majątek, podczas gdy człowiek zdolny, pracowity i energiczny śród fatalnego zbiegu wypadków może pozostawać w ciągłej niedoli. To samo dzieje się z narodami. Ich losy daleko mniej zależą od ich siły cywilizacyjnej i uzdolnień do rozwoju, niż od warunków zewnętrznych. Dzięki temu, co mowa pospolita nazywa szczęściem, mniej dojrzałe i kulturalnie uboższe dochodzą do takiej pomyślności, o jakiej wysoko oświecone i dzielne nawet nie marzą. Wymownym tego przykładem są Węgry. Mimo wszystkich Petöfich, Jokajów, Munkaczych i innych gwiazd madjarskiego nieba, nie ulega wątpliwości, że jest to dotychczas naród niewyłuskany zupełnie z łupiny azyatyckiej, w wielu swych właściwościach barbarzyńskiej. A jednakże jeżeli dziś pod imieniem monarchii Habsburgów można zrozumieć jakieś państwo, to tylko węgierskie. Zawdzięcza zaś ono swoje obecne położenie przyjaznym konjunkturom. Po bitwie pod Vilagos (1849) zdawało się, że węgrzy pozostaną jedynie wspomnieniem historycznem i że znikną tak na ziemi, jak zniknęli na mapie geograficznej. Tymczasem w 17 lat nagle odwróciła się dla nich karta po bitwie pod Sadową (1866). Austrya, rozbita przez Prusy, ujrzała w Węgrzech czynnik, z którym trzeba obliczyć się ponownie i przyznać mu największe między jej ludami przywileje. Dnia 8 czerwca 1867 r. Franciszek Józef koronował się na króla węgierskiego.

Tą właśnie pamiątkę wygasająca antropologicznie, ale wzrastająca politycznie resztka hunnów w Europie obchodziła z wielką uroczystością, jako 25-letni jubileusz. Pedantycznie zazdrośni o swą niepodległość, posuwając ubezpieczanie jej aż do biletów wizytowych „wspólnego“ sekretarza konsulatu, któremu nie pozwalają używać w tytule „cesarsko - królewski“ (k. k.), lecz „cesarski *i* królewski“ (k. *und* k.), węgrzy nawet tym obchodem usiłowali uwydatnić swoje odrębne i niezależne stanowisko w monarchii. Uczynili go więc nawskroś madjarskim, usunęli z niego wszystko, co mogłoby przypominać „Austryę,“ zatarli w przyjęciu Franciszka Józefa najdrobniejsze ślady jego „cesarskości“ i pozostawili tylko „królewskość.“ Gdyby świadkowie tej uroczystości stracili na chwilę pamięć, nie domyśliliby się, że ów monarcha piastuje jeszcze jakąś inną godność, oprócz króla węgierskiego.

Uważając ich wszakże za dzieci szczęścia i widząc ich dość nizki poziom *własnej* kultury, niepodobna im odmówić uzdolnień politycznych. Umieli dla siebie kuć żelazo w ogniu klęsk wojny prusko-austryackiej, umieli pod wodzą Deaka umiarkować swoje żądania i postawić je na gruncie realnym, umieli potem chwycić w lot każdą sposobność i wyciągnąć z niej korzyść dla swych interesów. Dziś, po 25 latach tej zabiegliwości doszli do tego, że z resztą monarchii wiąże ich tylko wspólny władca, oraz wspólni ministrowie spraw zewnętrznych, wojny i skarbu. A i ta wspólność zapewnia im lwią część wpływu. Franciszek Józef obsypuje ich swymi względami, nieraz z wyraźną krzywdą innych ludów. Gdy niedawno przybyła do niego deputacya rumunów ze skargą na ucisk węgierski, nie chciał jej przyjąć, a nadto biednych wysłańców ukarano za tę śmiałość. W polityce zewnętrznej kanclerz państwa nie ruszy wąsem bez ich woli. Wreszcie w sprawach finansowych projekt regulacyi waluty, przykrojony według życzeń węgierskich, najlepiej świadczy, że główna sprężyna maszyny skarbowej spoczywa w Peszcie. Ściśle zatem biorąc, monarchia Habsburgów, zamiast „Austro-Węgrami,“ powinnaby się nazywać „Węgro-Austryą.“

Ale zamknięty z wielką pompą 25-letni okres królestwa węgierskiego, jest nietylko epoką wywalczania jego niezależności, lecz także dobą okrucieństwa i ucisku. Odłamki ludów, które się znalazły w obrębie państwa madjarskiego, a zwłaszcza słowiańskie, wycierpiały i cierpią dotąd nielitościwe prześladowania, tem okrutniejsze, że rasa panująca, nie mogąc ich ani zalać skutkiem bezpłodności, ani strawić skutkiem słabej kultury, musi się uciekać do ordynarnych środków ciemięztwa. Męczeństwo tyranizowanych słowaków plami dzieje Węgier krwawymi śladami. Naturalnie głos tej krzywdy nie odezwał się podczas uroczystości jubileuszowej, słychać go jednak ciągle, choć brzmi stłumiony.

Niewątpliwie srebrne wesele cesarza austryackiego z narodem węgierskim ścieśni między nimi węzły jeszcze mocniej i otworzy ostatniemu szersze pole wpływów nad monarchią. Ale z władzą rośnie odpowiedzialność. Cokolwiek by madjarzy prawili o swej własnej mocy, w znacznej części jest ona pożyczoną od siły całego państwa, bez którego są oni drobiazgiem politycznym. Otóż pytanie: czy faworyzowanie tego drobiazgu kosztem innych ludów nie osłabi tak dalece państwa, że nawet on sam zwątleje? Tego pytania węgrzy sobie nie zadają i sądzą, że pieszcząc jeden członek a niszcząc inne, nie rujnują organizmu.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Na całym obszarze świata cywilizowanego prasa zajęła się skwapliwie wytłomaczeniem zjazdu w Kielu i jednoczesną bytnością Wielkiego Księcia Konstantego w Nancy. Jakkolwiek spotkanie się Monarchów bez otoczenia ministeryalnego nosiło wyraźny charakter odwiedzin osobistych, nie zaś narady politycznej, która zresztą nie mogłaby się odbyć tak szybko, gazety jednak upatrują w niem znak pokojowy. Bądź co bądź, zjazd taki mógł się odbyć tylko przy wzajemnem usposobieniu przyjaznem i nie nastąpiłby z pewnością śród stosunków zaostrzonych. Między serdecznością a nienawiścią mieści się bardzo wiele stopni uczuć pośrednich, obojętniejszych, a jednak ubezpieczających stosunek zgody. Obecna zatem chwila ma w swojem godle pokój.

Dla niemców byłoby to godło niewątpliwem, gdyby nie obecność Wielkiego Księcia w Nancy. Na nieszczęście dla swej wrażliwości obchodowi studenckiemu w tem mieście przypisali oni nadzwyczajne znaczenie i myśl wyzywającą; rzucając przedwczesne groźby, roznamiętnili się własnym gniewem tak dalece, że najlżejszy ton nieprzyjaźni, stamtąd wychodzący, musiał ich zranić. W takiem usposobieniu zaskoczył ich przyjazd Wielkiego Księcia, jednoczesny ze spotkaniem się Monarchów w Kielu. Zbiegu tych dwu wypadków nie mogli oni przyjąć obojętnie. Usiłują jednak nie zdradzać rozdrażnienia i utrzymać się na stanowisku spokojnej oceny faktów. Nie przeczą, że obecność Wielkiego Księcia w Nancy była uplanowana z celem uwydatnienia, że przyjaźń rusko-francuska nie uległa rozluźnieniu; ale powiadają, że objaw ten nie wniósł do polityki nic nowego: poprzedni układ stosunków nie zmienił się, tylko zyskał nowe potwierdzenie. Europa dzieli się na dwa sojusze, rzec można — na dwa obozy, i około tych dwu osi obracać się będą wypadki najbliższej przyszłości.

Z rzadką, prawie niebywałą jednomyślnością cała prasa francuska pochwaliła mowę Carnota za jej... umiarkowanie. Z tej pochwały widać, jak dalece francuzi nie są skorzy do drażnienia swych sąsiadów.

Odwiedziny królewskiej pary włoskiej w Berlinie zostały odłożone do jesieni. Dla czego? Nie wyjaśniono. Coś wszakże zajść musiało, gdyż trudno przypuścić, ażeby od tak dawna zamierzona podróż mogła być powstrzymana błahym powodem.

Stronnictwo rojalistowskie we Francyi, zgromione przez papieża, który mu kazał uznać Rzeczpospolitą, wydało manifest, w którym „pochylają głowę przed nieomylną powagą ojca św. w rzeczach wiary, ale jako obywatele zastrzegają sobie służące wszystkim prawo swobodnego objawiania zdań w sprawach odnoszących się do przyszłości i wielkości.“ Gdyby Leon XIII zechciał skarcić ponownie nieposłusznych i oświadczył im, że kto jest „nieomylny“ wogóle, jest nieomylny w szczegółach — miałby zupełną słuszność.

Belgia kipi walką zaciekłą, wybiera posłów do Izby i senatu, którzy złożą konstytuantę, mającą orzec o rewizyi konstytucyi.

Stronnictwa wytężają ostatnie siły, ażeby uzyskać przewagę w tak rozstrzygającej chwili. Liberałowie zyskali dotychczas wiele mandatów, ale ostateczny rezultat zapasów jeszcze niewiadomy.

W Hiszpanii, chronicznie chorującej na rozmaite bunty, wybuchły znowu zamieszki robotnicze. Wojsko ściera się ciągle z tłumami i utrzymuje miasta w stanie oblężenia.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej gotują się do ważnej rozprawy — wyboru prezydenta. Partya republikańska postawiła już jako swego kandydata Harissona, obecnie piastującego tę godność; demokratyczna zaś oświadcza się za Clevelandem, dawnym prezydentem.

LITERATURA I SZTUKA.

IMPRESYONIŚCI.

Anatole France.

Impresyonizm w krytyce jest w znacznym stopniu nieporozumieniem, które zresztą łatwo objaśnić można. Dość wziąć do ręki „La vie litteraire“ France'a, aby się przekonać o pierwszorzednym, decydującym wpływie, jaki na krytykę ich wywarła metoda Taine'a. Impresyoniści dają nam na pierwszym planie analizę psychologiczną — nosi ona wprawdzie charakter podmiotowy, ale jest to zło konieczne. Już dawno psychologia pogodziła się z tem, że głównem narzędziem jej postępowania jest „spostrzeganie wewnętrzne.“ Chcąc zrozumieć czyjś stan duszy, musimy się opierać na własnem doświadczeniu. Wnosimy w tę pracę tak dalece nasze własne „ja,“ iż Bourget na zasadzie dzieł Taine'a odbudował jego charakterystykę psychologiczną. Zresztą wszak nawet w astronomii spostrzegacze przyjmują „poprawki osobiste,“ dla zrównania spostrzeżeń różnych osób, a cóż dopiero powiedzieć o krytyce! Wprawdzie impresyoniści nie zadawalają się wyjaśnianiem, wydają też sądy, i to często sprzeczne. Ale i krytyka naukowa może się bardzo dobrze pogodzić z zastosowaniem ogólnych swych wywodów i praw do celów praktycznych i zadań estetycznych, duchowych i społecznych. Jeżeli nareszcie dodamy, że ani estetyka, ani psychologia, ani socyologia ściśle naukowych podstaw dotychczas nie posiadają, to łatwo zrozumieć, jak skromne roszczenia może dotychczas stawiać krytyka analityczna, i że właśnie dlatego, zwątpiwszy chwilowo o sobie, musiała się rzucić w drugą krańcowość, w impresyonizm, tj. rozbiór psychologiczny, noszący czysto osobisty, podmiotowy charakter. Reakcya przeciw ściślej dyscyplinie, której Taine chciał poddać ducha ludzkiego, osadziwszy go w ramkach zwykłej klasyfikacyi, jest tak silną, iż krytyka, jakgdyby urągając, sadzi się na sprzeczności i dowolności, stara się o jaknajwiększą wybujałość tych właśnie cech, dla których nauka będzie kiedyś miała w zapasie „poprawkę osobistą.“ Cały ten ruch idzie w parze z powszechnem obecnie w literaturze francuskiej dążeniem do indywidualizmu, co często przybiera taki charakter, jak gdyby człowiek, mający nieznaczne skrzywienie kości pacierzowej, starał się wyhodować zeń wspaniały garb. Ale pomijając te krańcowości, trzeba przyznać, że impresyonizm jest koniecznym stanem przejściowym krytyki naukowej, która u największych swych przedstawicieli musi jeszcze nosić charakter podmiotowy, często ukrywany. Impresyoniści pod tym względem są sympatyczni, iż bez wszelkiej obłudy swoje „ja“ na każdym kroku wysuwają. A stąd gniewy. Jeden z nich opowiada z powodu tego „moi haïssable,“ iż wszyscy jego byli koledzy z liceum — zwłaszcza ci, co się odznaczali tępością umysłu, dla których stworzona została ośla ława — nie mogąc mu wybaczyć ani jednego z napisanych przezeń wierszy, obrali sobie na kozła ofiarnego swych bezsilnych gniewów jego „ja.“ A jakkolwiek krytyk ten zawsze je

---

4)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

Była dziwnie blada. Z tak dziwnie pokornym wyrazem w oczach, w tych wielkich, cierpiących, niebezpiecznych oczach, w tych rozmarzonych, roztargnionych źrenicach, które patrzą, patrzą w dal, nie widząc ani drogi, ani celu... utkwione w bezdennym mroku. Ciemne loczki w rozpaczliwym nieporządku rozsypane na śnieżnie białych, błękitnie pożyłkowanych skroniach. Na widok jej uczułem niby pchnięcie przez całą moją istotę; nie miałem od owego czasu ani chwileczki spokoju. Wszystko znowu rozbudzone, gryzie, ssie, męczy — jak przedtem. Poszukałem sobie Bjölsvika, skłoniłem go, aby poszedł ze mną, próbowałem pić i być wesołym; lecz kłamstwem jest, jakoby „na dnie kieliszka spoczywać miała wesołość;“ w rzeczywistości trzeba być wesołym, aby módz pić. A ja wesołym nie byłem. Co chwila smutek szarpał mną, siedziałem, zapatrzony w nią, w nią, która teraz skręca koło rogu ulicy... Bo od owej chwili skręca ustawicznie na rogu ulicy Kościelnej i Karola Jana, widzę wciąż ów błysk bladej rozpaczy pod mnóstwem ciemnych loczków i te dwie wielkie, zbolałe źrenice, utkwione niby w bezdennym mroku. I pierś wypełnia mi się ciągle owymi złymi, nieokreślonymi bólami, które się wiją i kurczą, i opasują, i wpijają się w siebie niby żmije w klatce.

(Tu następuje szereg prób sportretowania jej za pomocą pióra lub ołówka. Wszystko nic nie warte).

* * *

Przez osiem dni birbantowałem. Wczoraj wieczorem było tego prawie już za wiele. Oto siedzę z miękkim mózgiem, zupełnie omglony. „A liczba moich grzechów...“

Co też powie naczelnik mego biura?.. Wszystko mi jedno! Więcej piwa!..

— Kładę się znowu, rzecz prosta. „A liczba moich grzechów“ — brr!..

* * *

(Tegoż dnia, wieczorem).

Dziwny to stan, kiedy po szalonej, nocnej hulance człowiek się budzi: zdaje się, że jakieś bardzo długie, bardzo gibkie żelazo zwolna w pierś moją się zatapia, pionowo, pewnie, prosto przez serce. Widzę je, czuję niejako, i to tak dobrze mi robi, sprawia ulgę, pokrzepia. Wielka, biała, elegancka ręka, zdobna w pierścienie brylantowe, w iskrzące się pierścienie spoczywa na rękojeści i kieruje żelazem i pewnie i silnie, powoli, dogodnie; lecz ramienia przy ręce tej chyba niema.

Wyobrażenie to ustępuje innemu — rodzaj gilotyny w formie wielkiego noża do krajania chleba; a pod tym nożem — pod bardzo szerokim nożem, połyskującym, cienkim, syczące zimnym i tak ostrym, że sam prawie w ciało wpada — pod nożem tym leży moja szyja, a kobieta, miła babula stoi i ścina tę moją szyję powoli, z rozmysłem, jak się odkrawa kawałek chleba żytniego. Leżę w wygodnej pozycyi — na lewym boku — i rozkoszuję się sytuacyą. Ah — wspaniale!..

Dziś wieczorem prześladują mnie przeważnie fantazye szubieniczne. Mimowoli chwytam się co chwila za gardło, tam, gdzie powinienby być założony stryczek, potem podnoszę rękę w górę, w kierunku sufitu, na którym stryczek powinien być umocowany i przez sekundę zdaje mi się nagle, jakobym zawisł w powietrzu, dusił się, wywiesiwszy język. To uspokaja, pokrzepia. Musi to być wspaniałe, unieść się tak ponad to wszystko, ponad wszystkie gady i zwierzęta czworonożne; już mnie teraz nie dosięgną; skończyłem wreszcie z całem tem robactwem i ze wszystkimi tymi brudami...

umyślnie przebierał w najbardziej fantastyczne, nieprawdopodobne szaty, bezsilna złość upatrywała w nich najwiarogodniejszą rzeczywistość, przypisując biednemu krytykowi wszystkie możliwe grzechy i występki. Anatol France daje nam w 4 tomach „Życia literackiego“ analizę psychologiczną pisarzy i kierunków bieżącej chwili, analizę prowadzoną bez obłudy przez pewne specyalne „ja,“ które my znowu postaramy się scharakteryzować. W tej zadziwiającej roślinności, którą stanowi dusza ludzka, istnieją prądy pokrewieństwa lub odrazy, nie zawsze łatwe dla objaśnienia. Książki France'a wywołują powszechną sympatyę, i to nawet w duszach „enotliwych,“ które by tylko oburzeniem drgać dłań powinny. Nic dziwnego; jest to człowiek, który potrącił całą klawiaturę wrażeń artystycznych i rozkoszy umysłowych naszego wieku, a jeżeli pozostał zdala od jego prądów społeczno-moralnych, to czujemy w nim natomiast przyrodzoną dobroć i słodycz. I rzecz dziwna, jakkolwiek młodość nie zaoszczędziła mu ani jednego upadku, ani jednego poniżenia nędzy, a po wielkich nadziejach poznał wszystkie zawody i gorycze, to jednak dobroć ta się w nim nie zwarzyła, nie obróciła w rozjątrzenie, lecz tylko w wielkie znużenie — ogólną pobłażliwość. Jest to jeden z licznych rozbitków życiowych, którym pozostała ta jedyna deska zbawienia i jeszcze inna, może mniej szanowna, gdyż bardziej spleciona z nieświadomym egoizmem — litość. Jest to stan ducha, bądźcobądź, pokrewny innemu, który się wydaje odmiennym i daleko częściej się spotyka: pesymizmowi, pozującemu na obojętność lub na ironiczną rezygnacyę wobec całej bezmyślności świata, wszystkich barbarzyństw życia. Często jednakowe przyczyny społeczne, padając na różny grunt psychologiczny, wydają odmienne nastroje. W takiej szkole manii i mizantropii, jaką jest Paryż, wypadek France'a jest daleko rzadszym od drugiego, a także ciekawszy. Nie jest to geniusz twórczy o śmiałych podlotach, ale niewątpliwy artysta, o delikatnym i wyrobionym smaku i nadzwyczaj wyrafinowanych żądzach i pragnieniach duchowych. Dodajmy też olbrzymią erudycyę w dziedzinie historyi, sztuki i filozofii, która go utrzymuje na wysokości nauki współczesnej i kult pięknej formy, czyniący zeń pisarza wzorowego i jednego z najgorętszych nowo-greków. W tej pijanej uczcie życia, którą był poganizm, France choć zdala, choć idealnie, uczestniczy, warunki życiowe i dobroć serca zbliżają go też nieraz do wprost odwrotnego bieguna: kultu litości i cnót chrześciańskich. Mamy tu próbę połączenia dwóch światów, próbę, zdaniem naszem, sztuczną, chybioną, jak wszelka próba tego rodzaju. Zaiste, upadek Aten, przerwanie tradycyi pogańskiej, rozpłynięcie się po świecie zupełnie innego ducha, judaizmu, było jednem z największych nieszczęść ludzkości. To też podejmując tradycye helleńskie, trzeba je zostawić w zupełnej czystości — jak to czynił Goethe. W poemacie „Noces corinthiennes“ France szuka natomiast rzadkiej mieszaniny wrażeń z dwóch zupełnie odrębnych dziedzin, pięknej grzesznicy z ciałem wyczerpanem od rozkoszy i duszą napełnioną mistycznym niepokojem — i trzeba przyznać, że zrobił z tego wszystko, co zrobić można było, zwłaszcza, że wdzięk stylu i bogactwo wybraźni ratują niewyraźność nastroju i kolorytu.

France ma w wysokim stopniu rozwiniętą żądzę wrażeń religijnych, obok zupełnej niewiary. Religia pociąga go właśnie dlatego, że jest, i o ile jest mistyczną, gdyż nastraja duszę jego na zupełnie nowy ton, którego wiedza ścisła w żaden sposób dostarczyć nie może. Oczywista rzecz, iż każe to przypuszczać olbrzymią bierność natury, dostarczającą niewątpliwie daleko większych horyzontów przy odczuwaniu możliwych wrażeń. Dla dusz czynnych jest to jednak stan prawie niemożliwy, gdyż strachu wobec zagadki bytu odczuć nie chcą i nie mogą, tajemniczość jej obchodzą pogardliwem milczeniem, a na groźbę odpowiadają urąganiem. Rozumie się, nie mówimy tu o umysłach zupełnie ograniczonych, u których o chęci i możności odczuwania czegoś podobnego mowy być nie może, gdyż przepełnione są zadowoleniem z powodu tych okruchów światła, których nam wiedza ścisła dostarcza.

Rzecz dziwna, wszystkie te cechy tak zmienne i faliste: pessymizm prawie wesoły, nieokreśloność żądz, znajdujących uspokojenie w nowo-hellenizmie i miłości form pięknych, dyletantyzm naukowy i ciekawość religijna, wszystko to razem wzięte dało w rezultacie pewien nastrój równowagi stałej, którą autor odmalował w znakomitym *Sylwestrze Bonnard'zie* *). Jest to stary kawaler, nadzwyczaj inteligentny, delikatny, ironiczny i dobry. Na świat i ludzi spogląda z obojętnością uczonego, który we wszystkiem widzi zjawiska, odbywające się na zasadzie praw stałych, ale zarazem z entuzyazmem dziecka, które nic nie rozumie, a wszystko podziwia. Z tą tylko różnicą, iż France umyślnie, świadomie dobija się dziecięcej naiwności, aby zwiększyć ilość możliwych sensacyj. Tak głębokie przeniknięcie się względnością wszystkiego musiało go natchnąć cichą, ale bezgraniczną ironią — jest to stały ton autora, który stanowi oznakę wielkiego rozczarowania i wielkiej rezygnacyi, nie pozbawionych zresztą ani czułości, ani dobroci.

*) *Le crime de Sylvestre Bonnard*, membre de l'Institut.

A jednak i ta pozorna równowaga z biegiem czasu okazała się niestałą. Ostatnie dzieło France'a „Thaïs“ objawia w aparacie duchowym autora jakąś ukrytą skazę i wydaje tony tylko chorobliwe lub fałszywe. Czy czasem ten erudyta, zatopiony w pięknie greckiem, nie ukrywał przez całe życie jakiegoś tragicznego rozdarcia pod maską subtelnej i pobłażliwej ironii? Temat Thaïs jest znany. Był niegdyś w Egipcie święty mianem Pafnucy, a w Aleksandryi kurtyzanka wielkiej piękności, Thaïs. Święty w gorliwym zapale chce dokonać nawrócenia grzesznicy — i dopiął celu. Thaïs żałuje grzechów, pokutuje, umiera, idzie do nieba. Natomiast mnich ogarnięty został szaloną namiętnością do swej penitentki. Żądze gryzą mu serce i ciało. Codziennie w skwarne południe kilka szakali wkrada się do jego celi, na groźby i egzorcyzmy mnicha odpowiadają śmiechem szyderczym, a gdy chce je wypędzić, rozmnażają się z niesłychaną szybkością, napełniając sprzęty i statki, powietrze, całą celę rozpalonym piaskiem mikroskopijnych szakalików. Ogień grzesznej namiętności, do której się nie przyznaje, żre mnicha, dumnego ze swych cnót i trwałości. Za dumę — nie za grzechy ciała i namiętność — idzie do piekła. Myśl słuszna, i France, zwracając się do bydląt grzęznących w cnotach i zadowoleniu swej uczciwości, mógłby im powiedzieć: „Nie zapominajcie, że w obecnem społeczeństwie uczciwość jest to także egoizm, jest to zbytek, którego nie każdy pozwolić sobie może. Niechaj więc ci szczęśliwcy, którym zbytek ten i wszystkie związane z nim wygody — szacunek, prawo do dostojeństw i t. d. — przypadł w udziale, siedzą z nim cicho po kątach, korzystając zeń jak mogą, ale niech nie rozdymają jeszcze bardziej swego podłego egoizmu i pychy, rzucając kamieniem w nieszczęśliwców, których nie tylko na

---

...Wszystko by już uszło, gdyby nie to drżenie, to dziwne, ukryte drżenie, którego pojąć nie mogę; tkwi chyba gdzieś wewnątrz; rodzaj wibracyi muskulatury wewnętrznej... dziwne, nieprzyjemne. Staję się takim niepewnym, chwiejnym, bez ciężaru i bez punktu ciężkości... drobne, nieznaczne, drgające migotanie w całej osobie, które zmysły miesza. Wiem, wiem, co to jest... to alkohol — do dyabła — lecz to nie pomoże. Nużące mdłości w górze pod piersią. Właściwie nie zwykły ból głowy, tylko jakieś szczególne, mgliste uczucie próżni wokoło głowy... rodzaj przedziału pomiędzy mną a światem, szumiąca dal; a przedmioty wokoło mnie nie są prawdziwymi przedmiotami; są to tylko kulisy, są to... Właściwie są to efekty kuglarskie, które wydają się tem lub owem: wydają się kanapą, szafą, krzesłem itd., ale same wiedzą dobrze, że tem nie są. To mnie trochę męczy. Nie chcę przyglądać się dłużej tej komedyi.

Ale pod spodem, na samym spodzie, głęboko, z tyłu, w głębi, w podziemiu mojej istoty spoczywa ów ołowiany, niebezpieczny lęk, rodzaj tajemnego więziennego obłędu, który wzbiera, wzbiera i ma ochotę ryknąć. To nieczyste sumienie lub trwoga, niby uczucie strasznego poniżenia, rodzaj dziwnego, idyotycznego strachu przed tem lub owem, Bóg wie przed czem. Niczmierzone, chorobliwe pragnienie rzucenia się do nóg komukolwiek, kobiecie, księdzu, Bogu — aby zawodzić, płakać, spowiadać się, być biczowanym, przeklętym, potępionym, a wreszcie spocząć w czułem, silnem objęciu, niby dziecko chore.

Muszę na przyszłość być trochę ostrożnym; mogę jeszcze wpaść w *delirium tremens*. Ale to lekarstwo na miłość — dzieli cierpienie. Troski miłosne toną w tem morzu innego cierpienia. Namiętność ucicha, staje się sentymentalną, bez pragnień; człowiek staje się tak niegodnym; mając nawet pozwolenie — nie dotknąłby się bodaj małym palcem. I chodzi, i majaczy się o swojej manii samobójczej, i zajmuje się swoimi nerwami i złudzeniami zmysłów, i mruczy się głośno do siebie: Ja, takie stare bydlę! O nie, takiemu jak ja z boską pomocą ona w ręce nie wpadnie! I człowiek czuje się szlachetnym i zacnym i oczy łzami mu zachodzą.

O Fanny... czemu teraz nie przyjdziesz, nie zadzwonisz... Niebym ci nie zrobił; poufnie posiedzieć z sobą...

* * *

Spostrzegam, że szukam dróg, któremi razem z nią spacerowałem; piję z nabożeństwem lodowato niedobre piwo w przydrożnych piwiarniach, w których byliśmy razem; w głębi serca żywię nadzieję, że ją gdzieś spotkam, mimo że właśnie spotkania najmniej sobie życzę. I wracam znowu do domu, jak pies, który wciąga ogon między nogi — bo nie spotkałem jej.

Durniu! Ośle! Cóż ty ją obchodzisz? A gdybyś ją nawet obchodził, toż przecie sam nie chcesz... Takie indywidua należałoby zastrzelić.

Tymczasem chodzę i chodzę, jak wieczny żyd tułacz miłości i małżeństwa — urodzony bezżeniec, szukający daremnie portu małżeńskiego. Lecz tacy, co *absolutnie* żenić się *nie chcą*, wpadają w łapkę, nim się obejrzą.

Życie jest takie zabawne.

Właściwie jestem człowiekiem nieszczęśliwym. Lecz to dałoby się jeszcze znieść ostatecznie. Gorzej jest być nieszczęśliwym, a w dodatku jeszcze tak niemożliwym błaznem.

* * *

Śmierć to jedyna, pewna rzecz na świecie, powiadają. Tak; lecz zupełnie polegać na niej nie można. Przyjdzie, ale nie przychodzi we właściwej porze.

Dobry Bóg, nasadziwszy nas na igłę życia, niechętnie z igły tej zdejmuje, póki nie pokazaliśmy wszystkich skoków, jakie tylko leżą w naszej mocy. Lecz wtedy zaczynamy czuć się prawie dobrze na końcu naszej igły; bo człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, nawet do życia.

uczciwość i wszystkie jej zyski, ale nawet na chleb nie stać, i których rzucono na pastwę sromocie. O jakże często czujemy się czystsi i szlachetniejsi w towarzystwie przestępców i prostytutek, niż w wyzłoconych salonach najuczciwszych i najbardziej szanownych ludzi! O jakże często występek i część sromoty chcielibyśmy dzielić z jego ofiarami, aby tylko nie być w tryumfującym obozie zyskownej uczciwości!“ Te paradsksy temperamentu i umysłu jeden z mych paradoksalnych przyjaciół przedstawiał mi jeszcze w następujący sposób: „W obecnem społeczeństwie szlachetne uczucia są zwykle albo głupotą, albo zręcznością. To też gdy znajduję się w towarzystwie tłustych plantatorów, frymarczących córkami przy geszeftach małżeńskich, młodych chłopców żeniących się z bogatemi matronami — co często miewa komiczny charakter musztardy po obiedzie — słyszę niechybnie rozmowę o miłości, o bezinteresownem świętem uczuciu, wówczas wynoszę też zwykle pod niebiosy małżeństwo, a zwłaszcza posażne jejmości. Gdy słyszę z tych odętych, tłuszczących się ust wielkie słowa ofiary i poświęcenia, unoszę się nad spokojnym kącikiem i pracą dla siebie i rodziny, a gdy przy likierach dochodzimy nawet do ludzkości i wielkich uczuć, któremi *oni* dla niej pałają, wówczas, biorąc ze stołu ciasteczko i gryząc je ze smakiem, powiadam: „Jest mi ono droższe od ludzkości całej.“ I mam satysfakcyę widzieć ich oburzenie, które mnie w dodatku ogłasza i uważa za hypokrytę.“ Niestety, dobitność tych prawd u France'a znacznie osłabiona zostaje przez ironię filozoficzną, która przytłumia moralne wrażenie książki. W gruncie rzeczy France nie robi wielkiej różnicy między mnichami i kurtyzankami i w jednakowym stopniu jest ciekaw występku i cnoty. „Thaïs“ jest perłą. ale, jak każda prawdziwa perła, wynikiem choroby, którą w danym razie możnaby nazwać „literacką.“ Ogarnia ona ludzi, dla których całe życie staje się przedmiotem sztuki i tylko sztuki. Jeden jej gatunek widzieliśmy już na Goncourtach. Ale nawet u nich — ani też u żadnego ze współczesnych francuskich artystów, a wszyscy są nią dotknięci — nie doszła ona do takiej wybujałości, jak u France'a. Nigdy on żadnym formułkom moralnym nic hołdował, obawiając się nadewszystko wszelkich pęt, lecz skłaniał się niewątpliwie do jakiegoś idealizmu przyrodzonego, który zrosztą bardziej przypominał zachód bogów, niż ich jutrzenkę. Ale w ostatniem dziele autora nawet te mgły się rozproszyły i napróżno szukalibyśmy w niem coś innego, oprócz chęci podobania się innym i bawienia samego siebie. Nieuleczalne zrozpaczenie umysłu i krańcowy bezwład woli, kryjące się pod tym nastrojem, wyrażają się w bezustannej ironii. W „Thaïs“ nie ma ani jednego wyrazu, któryby nie był nią nasiąkły, co ostatecznie staje się nużącem i monotonnem. Pod tchnieniem tej ironii wszystko więdnie i okwita, nawet rozkosz, którą France uważa za jedyny cel życia. Może dlatego jego śmiech miewa często tony powstrzymanego płaczu. W „Thaïs“ pszczoła grecka zebrała z kwiatów współczesnego życia najdelikatniejsze i najsubtelniejsze wrażenia; i one przewrotnemu smakowi tembardziej podobać się mogą, iż są najczystszym wyciągiem z wielu trucizn.

L. W.

LISTY WIEDEŃSKIE.

Berlińczycy i francuzi w teatrze wystawowym.— Eleonora Duse w Karltheatrze. — Fiasko L'Arronge'a. — Przyjęcie gości francuskich. — Zdanie Sarceya o literaturze niemieckiej. — Śpiewana ugoda czesko-niemiecka w Praterze.

Zgrabny teatrzyk drewniany, któryby chciałby chętnie wyglądać jak murowany, o kształtach wesołych i wyrazistych, uwidoczniających na zewnątrz podział wewnętrzny gmachu i jego przeznaczenie, przystrojony na froncie w kilka figur alegorycznych — oto bojownia, na której od zeszłego miesiąca odbywa się turniej międzynarodowy o pierwszeństwo w sztuce scenicznej. Sędzią w tych igrzyskach jest publiczność przeważnie wiedenska, gdyż mimo olbrzymiej reklamy wystawa muzyczno-teatralna niezbyt wiele dotychczas zwabiła obcych do stolicy austryackiej. A sąd tej publiczności na razie dziwnie zimny i ostry. Próbowali w niej dotychczas szczęścia z rzędu niemcy i francuzi — teatr berliński L'Arronge'a i Comédie française, mianująca się tak chętnie sama pierwszą sceną świata. Otóż ani jednym, ani drugim nie powiodło się zupełnie. Krytyka wprawdzie, pamiętając o obowiązkach gościnności, nie szczędziła im frazesów grzecznych, publiczność oklasków i wywoływań, ale po za frazesami i oklaskami czuć było wyraźnie mniejsze lub większe rozczarowanie, zupełny brak ciepła i szczerego podziwu.

A jednak ta sama publiczność i krytyka zdolne są do największego entuzyazmu grzmiących wybuchów uniesienia i szalonych superlatywów. Dowodzą one tego codziennie w Karltheatrze, gdzie po raz drugi w tym roku gości Eleonora Duse. Trudno opisać zachwyt, który wywołała tu i wywołuje dotychczas gra tej aktorki. Prawdziwe burze oklasków i okrzyków, w których prześcigają się parter i galerye, co wieczór szaleją teraz w małym teatrze przedmiejskim, nieprzyzwyczajonym do takich widowisk. Najstarsi krytycy wiedeńscy, którym serca i pióra zaschły już w służbie wieloletniej, cisnęli odrazu z młodzieńczym zapałem w kąt spleśniałe swe słowniki i zaopatrzyli się w nowe, w których niema skromniejszych wyrazów, niż „mistrzyni niezrównana“ lub „królowa sztuki.“

Umieją więc, jak widzimy, zagrzać się i tu odrazu dla nowych zjawisk scenicznych, choćby charakteru najbardziej odrębnego. Przyczyny niepowodzenia artystów berlińskich i paryskich należy tedy szukać przedewszystkiem w nich samych. Była ona odmienną w każdym z obu wypadków.

Teatr berliński L'Arronge'a nie podobał się z tej prostej przyczyny, że nie posiada on, oprócz kilku zaledwie wyjątków, żadnych znakomitych sił. Debiut jego odbył się wprawdzie pod dość niekorzystnymi warunkami, które przyczyniły się trochę do nieszczęśliwego rezultatu. Słota niemiłosierna, błoto bez końca i równoczesne bezrobocie dorożkarzów utrudniały przystęp do Prateru. Przebywszy szczęśliwie te trudności, widz musiał dopiero zaznajamiać się z nową salą teatralną, przyczem po kilku chwilach dochodził do fatalnego odkrycia, że ów zgrabniutki teatrzyk wystawowy, tak miły dla oka, przedstawia dla uszu pewną niedogodność, że jest on mianowicie — zbudowany nieakustycznie. Stąd dla aktorów bezustanna konieczność podnoszenia głosu, dla publiczności potrzeba wytężania słuchu, po obu stronach pewne skwaszenie umysłów i humor zepsuty. Wszystkie te drobne fatalności musiałyby jednak ustąpić, gdyby na scenie samej ujrzano cokolwiek niezwykłego. Niestety, to, co tam widziano, było mniej, niż zwykłem. Z wyjątkiem wybornego komika, Engelsa, aktorowie teatru berlińskiego nie wznoszą

— Zastrzelić się? To odwaga! A powtóre tak rzadko się celnie trafia. A nadto — takie to już niesmaczne.

Dr. Kraale zgodzi się może dać mi flaszeczkę morfiny?..

* * *

(Ostatni skandal). Młoda, piękna kobieta pokochała kapitana marynarki. Wszyscy ludzie zawyją — i wyją z przekonania! — mężczyźni, bo mu zazdroszczą, a kobiety, bo jej zazdroszczą.

Co do mnie, zazdroszczę mu. Przypuśćmy, naturalnie, że „ona“ jest tą, o której *ja* myślę.

* * *

Wielce szanowny Gabryelu Hieronimie Gram? Cóż to są właściwie za głupstwa?

O mało nie padłem ze zdziwienia, kiedy usłyszałem nagle w sobie to samomówiące stworzenie — gdzieś na górze, na drodze Bogstadzkiej, i poprostu pojąć nie mogę, o czem owej chwili myślałem.

Tak, będzie to ów znany osieł — moralność, który puścił się w pogoń za mną. Najmożliwiej wielkie szczęście, najmożliwiej małe nieszczęście... to gadanie, Bóg niech je przeklnie — to gadanie miesza się mimowoli do sądu ludzi nawet wyzwolonych.

Czuć się dobrze? Wolę czuć się źle (byle tylko nie ból brzucha). Ta bezduszna, nieruchawa ospałość, zwana stanem zdrowia, może być dobrą dla radców stanu i pastorów, lecz doprawdy — nie jest dla ludzi.

Stan niezdrowia jakiegokolwiek rodzaju, tęsknota, znoszenie jakiegoś niedostatku, męka, utrapienie — oto jest *życie*. To napręża, wypełnia czas, utrzymuje maszynę duszy w ruchu, wytwarza uczucia, odruchy woli, energię; tymczasem, gdy się jest sytym i zadowolonym — niema poprostu nic z tego wszystkiego.

A potem te nieliczne, z odwagi zrodzone godziny, kiedy żyje się całą pełnią natury swojej, kiedy działają wszystkie duchy życia, cała istota płonie, dusza cała drga. Niepodobne to do sytości, zdrowia itp. rzeczy; każda prawdziwa rozkosz do połowy przynajmniej jest bólem; ból przezwyciężony — oto definicya rozkoszy! Takie godziny osiąga się tylko za pomocą jakiegoś środka pobudzającego, jak wino, miłość, gra, natchnienie... I tu moraliści mówią: strzeż się przedewszystkiem upojeń — jutro nastaje zniechęcenie! Nawet i to wolę od przesytu nudy — cóż dopiero, kiedy za tę cenę skupuje się wielkie godziny życia?

— A jednak kręcę się tutaj i unikam, obawiam się owego środka pobudzającego, który jedynie może polot wróciłby mojej duszy... obawiam go się, obawiając się cierpienia, które po niem nastaje, z trwogi przed odrobiną nieszczęśliwej miłości! Gabryelu, Gabryelu — nie poznaję cię!

Muszę ją znowu spotkać, muszę wrócić do dawnego z nią obcowania — poprostu, aby „zakochać się nieszczęśliwie.“

VIII.

Starcze, nie możesz kochać. Wracaj do domu i zakop się w popiele, jak Hiob i rań się złamanemi skorupami garnków.

Oczywiście zajmuje mnie jako zagadnienie. Chętnie nad niem pracuję, czuję pociąg do rozwiązania go. Ale nie w ten sposób mężczyzna zajmować się powinien kobietą.

Tak, tak — a ta drobna, miękka sentymentalność, kiedy ona odeszła. Jakaś tęsknota. W pewnych nastrojach tęsknota taka stać się może nawet bolesną. Ale namiętności niema.

Amorze, Amorze, ofiaruję ci hekatombę, jeżeli uczynisz mnie ślepym...

* * *

Opanowało mnie pewne zadowolenie. Męczące uczucie niedostatku znikło; umysł mój uspokoił się.

Niezdrowo trzymać się zdala. Fantazya i uczucie pobudzają się wzajemnie, póki dziewczki nie przekształcimy na „kobietę,“ na madonnę w obłokach, na Ewę wśród róż kwitnących, następnie podpala się to śmiałemi marzeniami aż do chwili, kiedy człowiek staje się podobnym do świętego

się ponad poziom zwykłej trupy prowincyonalnej. Największe rozczarowanie zgotował publiczności wiedeńskiej sławny Józef Kainz, były ulubieniec króla bawarskiego Ludwika. Gra jego, tylekroć w Niemczech okrzyczana, jako „genialna“ i „fenomenalna,“ przedstawiła się tu jako objaw dość miernego talentu, rozpieszczonego widocznie przez publiczność specyalną i popchniętego przez nią na drogę afektacyi i maniery. To też ta ponęta trupy berlińskiej znikła po kilku wieczorach zupełnie z programu, a z całego pierwotnego repertuaru utrzymała się w końcu tylko dość słaba komedya Ernesta Wolzogena „Die Kinder der Excellenz,“ którą berlińczycy wypełnili resztę wieczorów aż do swego wyjazdu.

Słowem — fiasko niedwuznaczne, które w budżecie komitetu wystawowego zaznaczyło się niedoborem dziesięciu tysięcy złr. Nadto zaś niezadowolenie obopólne; skargi publiczności wiedeńskiej i utyskiwania artystów i prasy niemieckiej, zgorszonej chłodnem, a jak pisano, nawet „wprost niegościnnem“ przyjęciem, zgotowanem berlińczykom w Wiedniu.

Na nic podobnego nie mogą się uskarżać goście paryscy. Przyjęciem ich zajął się ów „świat najwyższy,“ który w urządzaniu wystawy upatrzył dla siebie nową zabawę towarzyską i który, jak się zdaje, opłaci ją w końcu półmilionowym deficytem. Koła księżny Metternichowej, baronowej Bourgoing i hrabiny Kielmansegg wydały hasło, że trzeba francuzom dać jak najświetniejsze pojęcie o gościności austryackiej i że nie należy w tym celu szczędzić żadnych kosztów. Przygotowano więc szereg przyjęć i pożegnań uroczystych, bankietów przedpołudniowych, popołudniowych i nocnych, tak, że z wyjątkiem kilku godzin wieczornych, poświęconych samym występom, artyści paryscy znajdowali się tu przez cały czas w błogim stanie podwójnego upojenia — sławą i szampanem.

Inaczej nieco zachowywała się równocześnie publiczność. Mówiąc krótko: pierwszy teatr paryski nie potrafił osiągnąć tu więcej, niż chłodny „succès d'estime.“ Podobała się gra Gota, Febvre'a, Leroi, Bartetówny i Reichembergówny; chwalono też i innych, ale bez wielkiego zapału, z grzecznym uśmiechem na ustach. Jakaż więc przyczyna tego niepowodzenia?

Leżała ona przedewszystkiem w dość niefortunnym układzie repertuaru. Francuzi chcieli widocznie zaimponować niemcom — gruntownością i dlatego ułożyli sobie program historyczny. Zaczęli od Moliera, przy którym zatrzymali się dość długo, a następnie przez Sandeau'a, Murgera, Musseta zeszli aż do Dumasa młodszego, Meilhac'a i Gunderax'a. Otóż pierwsza połowa tego programu, we Francyi nieśmiertelna, dla tutejszych widzów była martwą, a zajęcie, które wzbudzała — sztuczne i wymuszone.

Właściwą jednak i głębiej leżącą przeszkodą w powodzeniu było coś, z czego artyści paryscy prawdopodobnie sprawy sobie zdać nie mogli. Było to właśnie to, co w Paryżu z dumą nazywają „stylem komedyi francuskiej,“ właściwość nieuchwytna, złożona z tradycyi kilkuwiekowej, z pewnej wstrzemięźliwości arystokratycznej, w której objawia się poczucie siebie pierwszej sceny nadsekwańskiej, wreszcie ze sprytu zimnego, tworzącego jedną z cech temperamentu paryżan. Wszystko to nawet w sztukach nowszej daty utrudniało bliższe zetknięcie się artystów z publicznością niemiecką, szukającą na scenie przedewszystkiem prawdy i uczucia, a potem dopiero „stylu.“

Bezwiednie scharakteryzował tę różnicę między smakiem francuskim a niemieckim Franciszek Sarcey, który bawił tu wraz z członkami komedyi francuskiej. Sławny krytyk *Temps'a* doznał tu niemniej świetnego przyjęcia, niż artyści paryscy. Urządzono na cześć jego biesiadę i od poranka do wieczora oblegali go w mieszkaniu reporterzy dzienników wiedeńskich, pragnący usłyszeć zdanie jego o wszystkiem. Jeden z nich — jak opowiadał Sarcey później z nadzwyczajnem oburzeniem tutejszym znajomym — był tak nieskromny, że spytał go nawet, co myśli o najnowszej literaturze niemieckiej. „Co o niej myślę? — odrzekł patryarcha krytyki paryskiej z głęboką ironią, mierząc oczyma nieszczęśliwego młodzieńca: — Nic nie myślę. Nie znam jej wcale. Ale cóż pan o niej myśli?“

Otóż Sarcey, zdziwiony entuzyazmem publiczności wiedeńskiej, tej samej publiczności, która wobec ziomków jego tak mało okazywała skłonności do uniesień — dla Eleonory Duse, postanowił przypatrzyć się bliżej temu zjawisku. Zbadawszy sprawę, doszedł do przekonania, że wiedeńczycy nie mają słuszności i wypisał w liście swoim, że powodzenie Eleonory Duse jest tylko zboczeniem smaku, gdyż artystce włoskiej brak szkoły. Otóż właśnie owa „szkoła“ spowodowała niepowodzenie sceny francuskiej.

Zawitał jednak wreszcie i dla teatru wystawowego dzień szczęścia. Musiała się do tego przyczynić polityka wewnętrzna. Najkrócej określę położenie, jeśli powiem, że mamy teraz w Praterze śpiewaną ugodę czesko-niemiecką. Rozpoczął się bowiem szereg przedstawień operowych praskiego teatru narodowego, oczekiwanych z obu stron z uczuciami bardzo różnemi. W Pradze obawiano się wprost, aby trupa czeska nie padła w Wiedniu ofiarą zawiści. Nie byłoby to zresztą pierwszym wypadkiem tego rodzaju, gdyż przed niewielu laty opera Dworzaka „Der Bauer ein Schelm,“ jak wiadomo, dla tej a nie dla innej przyczyny wygwizdana została przez klikę niemiecką w operze tutejszej. Tymczasem jednak wiedeńczycy w innem usposobieniu przygotowywali się na przyjęcie sztuki czeskiej. Chcieli wywiązać się wzorowo z obowiązku gospodarzy i zawstydzić tym sposobem nieubłaganych wrogów ugody. Dzieje się tedy, jak postanowiono. Od dwóch dni teatr w Praterze pełny aż po brzegi, publiczność niemiecko-czeska przyklaskuje zawzięcie śpiewom artystów praskich, dzienniki wiedeńskie unoszą się nad pięknością utworów narodowych czeskich i nad talentem śpiewaków, a każda grzeczność dla prymadonny jest docinkiem dla Gregra i Vaszatego, każda wzmianka pochlebna o trykotach baletu i o tem, co one zawierają, ma zakrwawić serca młodoczechów. Publiczność chętnie służy tym hasłom, gdyż z jednej strony odpowiadają one najbardziej wrodzonej dobroduszności i gościnności wiedeńskiej, z drugiej zaś — nie można rzeczywiście zaprzeczyć, że popisy teatru czeskiego są wysoce uwagi godne, a muzyka narodowa, z którą zaznajamia on słuchaczy tutejszych, oryginalna i pod wielu względami wybitna. Odnosi się to dotychczas przedewszystkiem do opery Smetany „Prodaná nevěsta“ (Sprzedana narzeczona), którą zachwyciły się tutejsze koła muzyczne. Wiele dałoby się zresztą powiedzieć o samym teatrze praskim, który z drobnych zaczątków w krótkim stosunkowo czasie urósł do rozmiarów sceny pierwszorzędnej. Pozostawiam to do sposobności najbliższej.

Kaliban.

Antoniego, który byłby się ożenił z przekupką, gdyby przekupkę spotkał na drodze.

Jedenasta godzina wieczorem. Przyjemne uczucie, świadomość, że się jest *comme il faut*. Wszystko w porządku. Spożyło się porządną wieczerzę — z nią, mówiło się inteligentnie, mądrze, z pewną wyższością, z pochlebnem przeświadczeniem, że się jest właściwie cenionym.

Mężczyzna dopiero wtedy zadowolony jest z siebie, kiedy wie, że podziwia go kobieta.

* * *

Naturalnie jest demokratką. Mówi z tak zaciętą wściekłością o „małych złodziejach, których się wiesza i o wielkich, którym się nic nie robi,“ jak gdyby to co pomódz miało.

Odgrywam rolę tłumiciela i gasiciela; co chwila irytuje mnie tą swoją przesadą na każdym punkcie, tą niesprawiedliwością, wypływającą z najnaiwniejszej niewiedzy.

— No, naturalnie wiesza się małych złodziejów, zupełnie tak samo, jak np. rozdeptuje się robactwo — powiadam; przed tymi zaś, którzy zapełniają więcej miejsca, ma się mimowoli pewien szacunek, jak wogóle przed wszystkiem, co ma obszar. Są mistrzami w swoim fachu, artystami, przed sztuką zaś, przed artyzmem człowiek ma uszanowanie i powinien mieć uszanowanie, nawet jeżeli mowa o takiej bodaj sztuce, jak sztuka kradzieży. Brzydzimy się pospolitym rzezimieszkiem, złodziejem kieszonkowym, który dla marnej korony robi z siebie psa, a w dodatku daje się złapać i ukarać; lecz taki Ola Hojland, Gjest Baardsen wzbudzają w nas zajęcie, przed Rotszyldem, Vanderbildtem odkrywamy głowy.

Wpada w gniew i protestuje ze zbytnią energią, nie rozumie tej mieszaniny znużonej powagi i udanego humoru, stającej się mimowoli zasadniczym tonem człowieka, który nauczył się rezygnacyi; przyjmuje wszystko z uroczystą powagą, jak krowa — drzwi zielone lub jak uczniak — rzeczpospolitą.

— Pewnego dnia spotkaliśmy na drodze żebraczkę, bladą, zsiniałą, siedzącą ze zmarzłem dzieckiem, na schodach. Fanny nerwowym ruchem otworzyła sakiewkę, dała coś kobiecie i pospieszyła dalej; kiedy po chwili przemówiła, łzy tłumiły niemal jej głos. Zrobiło mi się jakoś markotnie; *moja* pierwsza myśl na widok owej kobiety była naturalnie: — Aha, znowu jakaś oszustka... kupiła albo skradła dziecko żebracze i używa go jako przynęty... gdzież u djabła jest policya?.. A ta naiwna dziewczyna wybucha łzami i daje tobie ostatni swój grosz.

Właściwie to jest szlachetniejsze.

Lecz w mgnieniu oka rozwiała moje wzruszenie.

— A tam — rzekła — tam siedzi bogata pani Hartmann, która na kosmetyki i perfumy wydaje tyle, że nieszczęśliwe to stworzenie żyćby z tego mogło i dziecko wychować. Należałoby ją powiesić.

Wysyczała formalnie ostatnie słowo; był to syk klasy niższej, pełen nienawiści, bezrozumny. Coś podobnego sprawia wrażenie czegoś strasznie nieukształconego.

Przezwyciężyłem gniew i rzekłem:

— Złe tkwi w tem, że obie, pani Hartmann i żebraczka, mają słuszność i niesłuszność. Być może, iż w zasadzie obie wisieć powinny; w każdym razie przydałoby im się to najlepiej. Lecz ostatecznie nie szkodzi, jeżeli i jednej i drugiej damy spokój. I ja niegdyś straszliwie cierpiałem na współczucie dla głodnych; lecz powoli, powoli przychodzi się do przeświadczenia, że im dzieje się jeszcze nienajgorzej.

(D. c. n.).

ŚRÓD MUZ.

V.

Dosyć rzadkim na wystawach naszych gościom z Monachium należy się pierwszeństwo w tłumie obrazów świeżo przybyłych. Co do niektórych, to prawo do wyróżnienia daje im chyba tylko głośne nazwisko autora. Taka np. „Potyczka“ Józefa Brandta, zawieszona między płótnami młodego pokolenia, nastraja widza poprostu melancholijnie i nie swym tematem bynajmniej, lecz artystyczną wartością. Jazda szwedzka ściera się tu gwałtownie; konie i ludzie powyginani w linie wściekłego zamętu, lecz spróbuj jeno, napatrzywszy się do syta figurom pojedynczym, objąć jednem spojrzeniem całość, a wnet wszystko straci swój zapęd i rozmach, jeźdźcy i rumaki, niebo i trawa zmieszają się w jedną bladą papkę, w gmatwaninę bez wyjścia, gdzie przedmioty nie odrywają się od siebie, teren nie zagłębia, farby kładzione są na chybił trafił. Tym sposobem robota, zmierzająca do celu wyrazistego, uchwytnego i silnego, jakim jest niespodziana, zażarta walka na śmierć i życie, zamienia się w kolorowaną ilustracyę, która na łamach tygodnika może zrobić wrażenie nienajgorsze, ale śród obrazów malowanych z siłą i prawdą wygląda strasznie mizernie. Jest to, krócej mówiąc, jeden z tych utworów Brandta, w którym daje on odrobinę ze swego niewyczerpanego magazynu brawury, lecz opracowaną szablonowo, rutynicznie, bez przejęcia się i wiary we własny motyw.

O ileż lepszym jest Wierusz-Kowalski ze swym źrebakiem, ssącym wymiona matki na tle rozległej łąki! Rzecz całkiem niewyszukana, prosta a prawdziwa w charakterze. Poczciwe, dobre oczy matki, spokój, z jakim mimo wiatr znęcający się nad nią, stoi w miejscu, ażeby nie przeszkodzić źrebięciu, oddane są z taką znajomością przedmiotu, że podnoszą to płótno nad poziom zdawkowych, od niechcenia między jedną a drugą ważniejszą pracą rzucanych szkiców. Gdyby tylko nie ten szary sos, rozprowadzony po całym obrazie i tak hojnie rozlany po widnokręgu! Na widok jego niepodobna oprzeć się własnej wyobraźni, która stawia obok artysty wielki garnek farbą napełniony, a w nim na długim kiju osadzony pendzel...

Widocznie już powietrze nad Izarą usposabia wzrok do przyprawiania wszystkiego czekoladą z mlekiem, skoro wpływ jej widać i na takim paryżaninie, jak Wacław Szymanowski. Oddawna czekaliśmy sposobności napomknięcia o jego „Powrocie z kościoła.“ Swego czasu widziałem, jak malowidło to pod ręką autora dojrzewało, zapowiadając się bardzo korzystnie, a dziś trudno nie wyznać, że obiecywało znacznie więcej. Nie znaczy to wcale, ażeby je można było zbyć machnięciem ręki. Przedewszystkiem sam temat jest tego rodzaju, że skusić mógł tylko artystę, który nie z jedną już poważnie łamał się—i to zwycięzko — trudnością. Twórca „Kłótni huculów“ złożył też nowy dowód wybitnego daru, jakim jest umiejętne wyrażanie zbiorowej a krótkotrwałej chwili psychologicznego skupienia. „Powrót“ jest tedy wybornym, choć bardzo złożonym akordem twarzy, ruchów, postaci doskonale zestrojonych. Trudno o większe ożywienie, niż to, jakie maluje się w oczach postawie i geście młodego górala, który żartobliwem słówkiem zaleca się do jednej z idących dziewcząt. Trudno trafniej i dobitniej przedstawić chichoty i szopty, niż to uczynił artysta swą grupą „dziewuch,“ sunących za tamtemi. Słowem, wszyscy tu grają swe role z werwą, zrozumieniem, rzecby można znakomicie, gdyby więcej było koniecznej rozmaitości między fizyognomiami dziewcząt, które wzbudzają obawę, że zamiast być odmianami jednego typu, są bliźniętami całą swą liczbą. A jak p. Szymanowski doskonale odwraca twarze, jak przechyla głowy, jak przenosi na płótno chód, owo rażne, swawolne stąpanie wesołego towarzystwa! Lecz to chwytanie na gorąco ruchów, spojrzeń i harmonizowanie ich w zbiorowy akt nie przedstawia dla malarza wszystkich ponęt prawdziwej trudności. Są momenty, które ująć jeszcze większa sztuka, dlatego, że nie ma się do usług takich znakomitych środków ekspresyi, jak giesta i twarze — a mianowicie nastrój pewien, rozlany i w przyrodzie i w ludziach; tutaj artysta ma zadanie o wiele subtelniejsze. Owóż p. Szymanowski chciał widocznie odtworzyć nietylko zaloty i trzpiotostwo, ale i świąteczne usposobienie dnia niedzielnego i tych, co wracają z widniejącego na dalszych planach kościołka, i przyznać trzeba, że mu się to całkowicie udało. Więcej jeszcze niż miny dziewcząt, ich strój tchnie świeżością, jasny jest, tylko co z kuferka wydobyty. Wzięły one na siebie, co miały najlepszego, ot, muślin biały w jakieś kwiatki włożyły na spódnice, przebijające z pod niego kolorem żywszym — i tak oto wysztafirowane, bliższe więcej, dalsze mniej, suną ochoczo, i czujesz, że im cały dzień przejdzie na śmiechu i pogodzie. Cała natura wskutek tego rozpromieniła się i rozgadała.

A jednak Monachium i na tem prawdziwie artystycznem, dalekiem od wszelkiej banalności płótnie zostawiło swe ślady. Obraz wypadł, a przynajmniej tak się u nas wydaje, monotonny w kolorze, ubogi w światło, plamy brudno czerwone i brudno zielone wzięły go we wspólne posiadanie, nie użyczywszy prawie nic innym tonom, zleciutka tylko zaznaczonym. Przy najkorzystniejszym nawet wyborze dlań miejsca, nie przestaje zdradzać warunków roboty pracowninej, dusznej, zamkniętej i jak gdyby w porze wyjątkowo pochmurnej dokonywanej.

Nie bardzo się godzi zaliczać do monachijczyków Aleksandra Gierymskiego, chociaż był uczniem Pilottiego. Jest to żywe przeciwieństwo wszystkich nałogów, hodowanych dla dobra sztuki w stolicy Wittelsbachów. Proszę zobaczyć ową przekupkę w salonie Krywulta. Nie potrzeba znawstwa, ażeby w niej dostrzedz rękę pierwszorzędnego majstra; odgadnie to zarówno dziecko jak i prostak, jeśli tylko spojrzy na tę biedną żydówkę z zawiędłą, skrzywioną twarzą, ze zrudziałą na głowie peruką. Stoi ona pod jakiemś domostwem, patrzy jak automat na ulicę, bezwiednie i odruchowo robi niezbędną pończochę na drutach, nędzna ta z wypisaną na charakterystycznej odzieży niedolą. Cały jej majątek to para lichych jabłek, leżących na płachcie u jej nóg. Gierymski brzydzi się sentymentem, jak filisterstwem, i starannie go unika, ale nie trzeba wcale roztkliwiać się i dopatrywać uczucia tam, gdzie nie było zgoła wzięte za cel, ażeby dotworzyć sobie całe tło, wyzierające z bezmiernej typowości tej figury, ażeby nie pomyśleć mimowoli o cierpliwości, z jaką stworzenie to od rana do nocy czeka grosza zarobku. Patrząc na nią, słyszymy niemal wstrętny jej żargon, widzimy zostawione w domu dzieci głodne i odarte. Artysta mierny zwykle nie wypowiada nawet tego wszystkiego pendzlem, co miał na myśli, Gierymski zaś potrafi w marnej, z ulicy wziętej postaci zawrzeć nie jedną tylko chwilkę, lecz to, z czego sobie sprawy pewnie nie zdaje, a co tkwi w samych nerwach tak wybornego obserwatora, całą tę masę wrażeń z nią skojarzonych, wszystkie czynniki składowe typu, skupione, nagromadzone wymownemi symptomatami z różnych innych jego chwil i odmian, wypiętnowane silnie i wszechstronnie. Jego żydówka jest tak treściwa i charakterystyczna, jakgdyby ją obrano za przedstawicielkę całego tysiąca koleżanek, mających w koszyku za dziesięć groszy makagig, kilkanaście spleśniałych pomarańcz i watówkę kupioną u handlarza za złoty.

Energią też niepospolitą tchną oba płótna p. Wyczołkowskiego. „Rybacy,“ których właściciel galeryi w hotelu Europejskim dosknale zawiesił, mogliby być ozdobą każdego muzeum. Stanowią motyw świeży, oryginalny, rodzimy, żywiołowy, którego jędrność wprost podziwiać trzeba. Te dwie dosadne, typowo postacie, stojące po kolana w wodzie wielkiego stawu, trzciną zarosłego, mają całą szorstkość ciężkiego swego, twardego rzemiosła. Widzimy je z tyłu w chwili ruchu najbardziej znamiennego, kiedy jeden pochyla się nad siecią wyciągniętą i wybiera z niej ryby, drugi zaś wygięty wstecz swoją dopiero z wody z pewnym nieznacznym wysiłkiem wydobywa. Pierwszy jest polem do popisu w całem znaczeniu wyrazu. Przygarbione plecy, spuszczona głowa, przygięte zlekka nogi wyśmienicie, niezrównanie ilustrują jego czynność, pofałdowana jego odzież i ociekające spodnie z grubej materyi, gruby kaftan, wszystko to niezmiernie wymowne, prawdziwe, wystudyowane. My tak dobrze czujemy, że oni mokną, że woda cięży im i że zajęci swoją robotą, zapomnieli o tem. I piękna jest przytem i pełna nastroju ta przejrzysta smuga stawu między kępami sitowia — w której stoją. I byłby to ze względu na dosadność, wyrazistość ruchu i typów obraz pierwszorzędnej wartości, malowniczy w wysokim stopniu i realny, gdyby nie owa nieszczęsna manija polichromii. Rybacy oświetleni snadź promieniami zachodzącego słońca przedstawiają bardzo bogatą i efektowną grę kolorów, oddanych z siłą, ale te kolory wałęsają się po całym krajobrazie tak swobodnie, tyłu jaskrawemi plamami ozdabiają wszystko dokoła, prócz jedynego nieba, taki czarodziejski tworzą fajerwerk, że mimo najlepsze chęci, nie możemy zaufać tym purpurom, fioletom, opalom i szmaragdom. Nie wierzymy, ażeby Febus dał się malarzowi przekupić i dla miłości jego rzucił na szarą naszą ziemię takie piękne welony, choć myśl o tranzakcyi pieniężnej natarczywie się do głowy ciśnie, już bodaj dla tego, że zdaleka „Rybacy“ dzięki swej tęczy, robią wrażenie wielkiej storublówki.

Drugie płótno tegoż artysty przedstawia kopanie marchwi. Jest to już więcej temat szkicowy, fragment obliczony na charakterystyczne sylwety. To też są one świetne, również szorstkie i dosadne. Motyw światła, oblewającego je, zaciera szczegóły i rysy twarzy, a natomiast uwydatnia kontury i plamy. Pewność ręki, szerokie malowanie, wielkie poczucie natury i typu cechuje ten obraz. Łącznie zaś z poprzednim znamionuje on w p. Wyczołkowskim pewie w rodzaju tematów jego zwrót, który kto wie, czy nie jest dziełem wpływu Fałata. Naturalnie podobieństwo między jednym a drugim nie może dotyczyć właściwości kolorystycznych, ale uderza ono w sposobie traktowania figur ludowych, śmiałym, niezwykle dosadnym i, jeśli tak rzec można, lakonicznym.

Nie będziemy się zatrzymywali nad innemi malowidłami, których dziwnym zbiegiem tak dużo się teraz w salonach Towarzystwa Zachęty zebrało. Jest to prawdopodobnie ostatni plon ozimy, bogatszy o wiele niż dawniejsze. Wypada jeszcze wspomnieć o dwu ładnych pejzażach p. Rapackiego, z których jeden, ukazujący noc zimową, ma za grube gwiazdy, ale wyborny pierwszy śnieg na zagonach. Zasługują też na wzmiankę głowa zakonnicy p. Puacza— nazwisko nowe — wyróżniająca się z pomiędzy innych pierwocin nader korzystnie. Portret pędzla p. Lenca, trochę przypomina prace Pochwalskiego, ale o całe niebo przewyższa dawniejsze płótna swego autora wielką siłą wyrazu i koloru. Pana Podkowińskiego dama w kapturku jest więcej żartem niż robotą poważną, ale od-

znacza się niezwykłą wypukłością. Jego widok małego miasteczka ma momenta wyborne pod względem technicznym, jak np. omszałe dachy gontowe, bruk, droga, lub nawet pojedyncze głowy żydów, ale całości brak życia, zjednoczenia, kompozycyi obrazowej. Nie zdaje się nam, ażeby ten rodzaj nadawał się szczególnie do wytwornej, raczej salonowej maniery p. Podkowińskiego.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Wystawa wiedeńska. — Teatr. — Nauka kobiet.

Wśród niezliczonych wad, zarzucanych żydom, zapomniano o jednej — wielkiej. Nędzarze ci posiadają mądrość życiową — przysłowia. I to przysłowia po prostu nieprzyzwoite. Uważając widocznie jako szczyt bezmyślności konia, człowieka bezmyślnego charakteryzują w ten sposób: „Kiedy mowa o ludziach — jest koniem, kiedy mowa o koniach — jest człowiekiem...“ A zuchwali śmią twierdzić, że w społeczeństwie naszem ludzi coraz mniej! To stanowczo nieprawda. Najwymowniejszym dowodem są — wyścigi. Dość spojrzeć na żokiejkę, aby ze wzruszeniem, ze łzami w oczach zawołać: *Ecce homo!* Ot znowu ludzie urządzają tu wyścigi konne z całym przynależnym aparatem głupoty i bezsensu. Dlaczegóż Kraków nie ma mieć wyścigów, skoro ma je Paryż? Wodociągi? — głupstwo! bruki? — szykana! — telefony? — bajka. Wyścigi — to grunt! A więc jazda!

Na wyścigi i na przyjęcia pieniędzy nie brak, lecz czytanie uprawiane jest tylko o tyle, o ile nie kosztuje. Od czasu, kiedy Loti, jeden z „nieśmiertelnych“ wyznał, że „nie czytuje,“ hygiena oczu zdaje się postępować u nas znakomicie. Loti jest członkiem Akademii, a więc *wielkim człowiekiem* i — nie czyta, bądźmy więc i my wielkimi ludźmi!

Śliczną perspektywę ma za to dział sztuki polskiej na wystawie wiedeńskiej. Według zdania rzeczoznawców, „jest to krzywda, wyrządzona sztuce naszej w opinii zagranicznej.“ Znajduje się np. na wystawie fotografia p. Lubicza z własnoręcznym podpisem, złożona na aksamitnej poduszce i okolona srebrnym wieńcem; zaś zżółkły jakiś wizerunek Żółkowskiego wisi gdzieś w kącie, tak, że go ledwie dostrzedz można. Jakże więc obcy, zwiedzający wystawę ma wiedzieć, że Żółkowski był najznakomitszym aktorem polskim, a p. Lubicz sprzedaje kapelusze i krawaty w Krakowie? Podobnych dziwolągów na wystawie ma być więcej.

Szkoda, że nie wysłano na wystawę dekoracyj teatru krakowskiego... Gości w nim obecnie operetka lwowska i balet. Z wyjątkiem dwóch, trzech artystów, wszystko marne.

Jedyną tedy nadzieją zmiany stosunków jest nowy teatr. Ale jaka to nadzieja? Ponieważ uchwała Rady miejskiej postanowiła 31 głosami przeciwko 8-miu oddać go w dzierżawę, więc nie wiadomo, czyje plecy okażą się najszersze, t. j. kogo protekcya najskuteczniej w wyzyskiwaniu popierać będzie. Znawcy, jak Koźmian i Estreicher, byli zdania, że miasto z prowadzenia teatru na własną rękę odniesie zysk, boć i przedsiębiorca go ma, w najgorszym zaś razie niedobór wyniósłby 2 — 3,000 reńskich. Radcy nie przychylili się do tego zdania, twierdząc, że deficyt wynosiłby kilkanaście tysięcy, gdyż „*my* (t. j. miasto) nie możemy mieć ani tak marnych aktorów, ani tak marnych rekwizytów, jak p. Glükson!“ Są to wprawdzie motywy głoszone tylko prywatnie, lecz były widać decydujące. Co stąd wynika? *Nie mogąc* mieć marnego teatru, miasto, trzymając teatr na własną rękę, miałoby teatr porządny; ponieważ oddaje go w cudze ręce, wyrzeka się porządnego teatru!

Cieszę się, że jedną przynajmniej weselszą barwę wpleść dziś mogę w smutną, szarą plecionkę naszego życia. Po śmierci Adryana Baranieckiego, założyciela wyższych kursów dla kobiet, grono profesorów, tamże uczących, zajęło się losem tej instytucyi. Obecnie przedstawiają oni projekt statutu organizacyjnego kursów. Wnieśli prośbę do Rady miasta o wzięcie ich na etat miejski, wyznaczenie rocznej pensyi 2,500 złr., która wraz z dochodami instytucyi na utrzymanie jej starczy. Wedle statutu kursy dzielą się na 3 wydziały: literacki, przyrodniczy i artystyczny, program nauki rozłożony jest na 2 lata. Do programu nauk wydziału literackiego wchodzą: historya i historya literatury polskiej, historya sztuki, zasady psychologii, zarys historyi filozofii, historya literatury powszechnej, literatura i lektura francuzka, zasady pedagogiki i etyka chrześciańska (?). Do programu nauk wydziału przyrodniczego: arytmetyka, geometrya, fizyka, chemia, kosmografia, zoologia, botanika, biologia, fizyologia wraz z początkami antropologii, mineralogia, gospodarstwo wiejskie, gospodarstwo domowe, warzywnictwo i ogrodnictwo, geografia fizyczna i hygiena. Wydział artystyczny obejmuje wszystkie przedmioty, dotyczące sztuki.

Wśród jałowości życia tutejszego instytucya Baranieckiego bezwątpienia na uznanie zasługuje. Zdaje nam się jednak, że w stosunku do ilości przedmiotów wykładanych, czas zbyt jest krótki, skutkiem czego nauka nie będzie mogła być gruntowną. A w kształceniu kobiet przedewszystkiem właśnie gruntowne uczenie się uwzględnić by należało. Obliczyliśmy np., że na cały kurs psychologii wyznaczono 24 godziny. Czy wobec niemowlęctwa pań w tej gałęzi wiedzy nie jest to stanowczo za mało?

Ferropar.

Z POZNAŃSKIEGO

12 czerwca.

Groźba nieurodzaju. — Spółka melioracyjna, jej rozrost, prace i postanowienia. — Towarzystwa pomocy naukowej.

Ostatnie dni majowe, niepogodne, ostre, niemal mroźne, gdyż czasami temperatura dochodziła do zera, dziwnie wpłynęły na humor ludzi, posiadających po kilka, kilkanaście, kilkaset lub kilka tysięcy morgów ziemi rolnej. Potracili serca i chodzą z rozpaczliwie załamanemi rękami, bo „suchy marzec, maj nie chłodny, rok nie głodny“ i powtarzają to, co dawniej powtarzali, „że takiego złego dla rolników roku nie pamiętają.“ Zwykle nie mają słuszności, ale rok bieżący faktycznie w Poznańskiem może być dla rolników bardzo zły, chyba że święta ziemia zechce nam sprawić niespodziankę i dotychczasowy stan urodzajów znacznie poprawić. Dotychczasowe doniesienia po tych kilkunastu dniach z innych stron są jak najgorsze.

Oto rzepak kwitnie w całej pełni, ale skarżą się, że chrząszczyk dokuczył mu porządnie. Pszenica w porównaniu z poprzedniemi latami bardzo pozostała w tyle. Zimne północno-wschodnie wiatry, które bez litości przez trzy tygodnie dęły, nie tylko że ziemię zbyt osuszyły, ale spowodowały osłabnięcie delikatnych roślinek, w rolach nie bardzo jej sprzyjających. Żyta stoją jeszcze gorzej od pszenicy; dobrze wyrównanych, nie przerzedzonych zupełnie nie ma. W słomie zostaną krótkie, to znaczy tyle, że będzie niedobór mierzwy stajennej i że cena sztucznych nawozów znacznie podskoczy. Pasza bardzo chuda i mizerna, niemal dla bydła niewystarczająca. Dopiero ostatnie ciepłe dni nieco poprawiły zasiewy, sprzyjały wzrostowi trawy i rzuciły na rolę weselsze światło.

Nic też dziwnego, że w takich warunkach walne zebranie „Spółki melioracyjnej,“ o której założeniu pisaliśmy swojego czasu, było ożywione i niezwykłe budziło zainteresowanie. Przy założeniu jej było tylko 21 członków, obecnie zaś liczba ich powiększyła się do 51. Wniosków o drenowanie i inne melioracye rolnicze w ciągu 14-miesięcznego istnienia Spółki podano 68, z tych 48 przyjęto, zaś 20 dla różnych technicznych i finansowych powodów nie załatwiono. Do dnia 1 maja b. r. wydrenowano 3,500 morgów, a podjęto niwelacyę na 7,000. W czasie wiosennym prace drenarskie były prowadzone na 21 wsiach, a wszystkie roboty tak wcześnie ukończono, że pola mogły być kartoflami obsadzone. Drenowanie nie jest w Poznańskiem rzeczą nową, bo już przed 40 laty przeprowadzono je w ordynacyi Kobylnickiej; atoli jeżeli je niedokładnie wykonane, pociąga za sobą znaczne szkody. Spółka tedy wzięła sobie za pierwszą zasadę przeprowadzać te roboty tak sumiennie, aby nakład włożony zawsze się opłacił. Na zebraniu tedy postanowiono utrzymywać bardzo ścisłą kontrolę nad robotnikami i zgodzono się, że wszędzie tam, gdzie sam właściciel nie może podjąć się nadzoru nad robotnikami, wykonywującymi pracę, należy ustanawiać stałych dozorców na koszt interesanta.

Następnie zebranie postanowiło, iż Spółka udzielać będzie gwarancyi, za dobre działanie systemów drenowych, przez nią przeprowadzonych, i zastanowiło się nad dawniej już postawionym wnioskiem ustanowienia „abonamentu na utrzymanie drenów w porządku.“ Chodziłoby tu o to, aby technicy Spółki na wiosnę byli posyłani do rewidowania i czyszczenia wylotów, dawania wskazówek miejscowym ludziom, aby miejsca zepsute w polach drenowanych przez zbyteczny napływ wód, uszkodzenie lub zatkanie się rurek natychmiast reparowali.

Towarzystwo pomocy naukowej dla młodzieży (męzkiej) Prus zachodnich wystąpiło ze sprawozdaniem ze swych czynności za r. 1891, tj. czterdziesty trzeci swego istnienia. Oparte zrazu na obywatelstwie ziemskiem, zamożnem i hojnem, miewało bardzo znaczne dochody i szeroką też mogło rozwinąć działalność; gdy jednak ziemia zaczęła szybko przechodzić w obce ręce i owe ofiarne obywatelstwo po całym rozproszyło się świecie, Towarzystwo na innym musiało oprzeć się żywiole. Z powiatu zeszło do parafii, z organizacyi powiatowej do parafialnej i na niej ufundowało cały system dochodów. Parafia obecnie dostarcza pieniędzy i troszczy się o przyszłość młodzieży. Towarzystwo liczy dotąd 122 parafie z 94 kasyerami. Tych ostatnich brak nadewszystko i dlatego dochody nieraz szwankują.

Odbyło swe walne zebranie również i Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt. Niestety, z 934 członków przybyła nań szczupła tylko ilość. Dochodu osiągnięto w roku ubiegłym ze składek zwyczajnych, nadzwyczajnych i procentów 13,907 marek 75 fen., rozchód wynosił 6,927 m. 74 fen. Najwięcej wydano na stypendya nauczycielek, bo aż 3,116 m. 50 f., dla kształcących się na krawcowe 1,008 m. 90 fen., w handlu i buchhalteryi 798 m., na tak zwane freblówki 483 m. Zebranie główne dyskutowało nad rozszerzeniem wykształcenia nauczycielek w muzyce, która bardzo potrzebną się okazała w praktyce.

Ł. Z.

OTWARTE WROTA.

Oddawna krążące pogłoski o układzie rządu ruskiego z „Żydowskiem stowarzyszeniem,“ które zawiązało się w Londynie z kapitałem 50,000,000 fr. i na czele którego stanął bar. Hirsch, sprawdziły się w świeżo ogłoszonem doniesieniu urzędowem *Praw. Wiestnika.* Towarzystwo to zamierzyło ułatwić współwyznawcom swych założycieli emigracyę z Europy i Azyi, urządzać kolonie osadnicze w Ameryce, nabywać dla nich grunta i zakładać potrzebne instytucye. W tym celu główny akcyonaryusz i prezes rady Hirsch ofiarował 25,000 hektarów ziemi, kupionych przezeń w prowincyi Buenos Ayres w Rzeczpospolitej Argentyńskiej; przestrzeń ta, przeznaczona na pierwszą kolonię dla żydów z państwa ruskiego, jest już obecnie całkowicie zaludniona. Dla dalszego rozwoju kolonij żydowskich, nabyto tamże, w prowincyi Formosa, 360,000 hektarów, a w prowincyi Czago i Mizyonos 3,250,000 hektarów ziemi. Oprócz tego mają być zorganizowane kolonie żydowskie także w innych krajach, (Brazylii, Meksyku i Kanadzie), a ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki Północnej toczą się rokowania, wskutek których będzie tam przyjęta znaczna liczba emigrantów, poświęcających się rolnictwu.

Bar. Hirsch upoważnił poddanego angielskiego A. Wighta, ażeby ten postarał się u rządu ruskiego o założenie w Petersburdu centralnego komitetu emigracyjnego, a w niektórych miastach państwa, stosownie do potrzeby, komitetów miejscowych, jako organów wykonawczych towarzystwa kolonizacyjnego. Według przypuszczenia barona Wighta, Towarzystwo może stopniowo, w ciągu 25-u lat, przesiedlić z granic Rosyi 3,250,000 żydów, przy stopniowem corocznem powiększaniu liczby wychodźców. Działalność ta może być zaczęta w r. b. przez przesiedlenie do Rzeczypospolitej Argentyńskiej 25,000 osób.

Doniósłszy komitetowi ministrów o tem staraniu — pisze dalej dziennik urzędowy — ministeryum spraw wewnętrznych uznało za możliwe zezwolić na rozpoczęcie działań Towarzystwa kolonizacyjnego pod warunkiem poddania jego czynności w państwie ruskiem kontroli rządu.

Ministeryum spraw wewnętrznych wskazywało, że należy w niem skoncentrować zarówno zatwierdzanie członków komitetu centralnego, mianowanych przez prezesa rady Towarzystwa, jak zezwalanie na wykonywanie postanowień komitetu, wreszcze składanie corocznych sprawozdań z jego działalności. Czynności komitetów miejscowych ministeryum uznało za konieczne uczynić zależnemi od zarządów gubernialnych, a gubernatorom dać prawo powstrzymywania postanowień komitetów, odwołując się do opinii i zezwolenia ministra. Nadto ministeryum uznało za pożyteczne orzec, aby po upływie dwóch lat od zatwierdzenia przedsiębiorstwa, gdyby Towarzystwo nie osiągnęło rozwoju, działalność jego mogła być przerwana.

Co do współdziałania, jakie mogłoby być okazane przez rząd ruski przedsięwzięciu barona Hirscha, ministeryum spraw wewnętrznych uznało za możliwe wydawać żydom, emigrującym przy pomocy Towarzystwa, bezpłatne świadectwa emigracyjne i uwalniać ich od służby wojskowej, przyczem pozostający w państwie ruskiem ich spółwyznawcy nie byliby pociągani w zamian za wychodźców do spełnienia tego obowiązku. Dla zapobieżenia uchylaniu się żydów od służby wojskowej pod pozorem udanej emigracyi, postanowiono, ażeby popisowi, którzy nie wyjechali z państwa ruskiego przed losowaniem i nie oznajmili o tem władzom właściwym, byli pociągani do spełnienia tego obowiązku, jako uchylający się od niego bez wyciągania losu. Żydzi, którzy wyemigrowali przy pomocy Towarzystwa, którzy zatem skorzystali z ulg przez nie dawanych, są uważani za takich, którzy opuścili granice państwa na zawsze.

Aby zapobiedz możliwym wypadkom powrotu wychodźców, ministeryum spraw wewnętrznych projektuje zobowiązać towarzystwo kolonizacyi żydowskiej do złożenia w Banku Państwa w papierach procentowych, gwarantowanych przez rząd, lub w gotówce, 100,000 rs., na pokrycie wydatków, mogących obciążyć rząd, gdyby emigranci, wysiedleni przy pomocy Towarzystwa, nie otrzymali poddaństwa w innym kraju. Nadto w razach, gdy z powyższej kwoty pozostanie nie więcej nad 25,000 rs., Towarzystwo winno ją dopełnić do pierwotnej wysokości.

Przedstawienie ministra spraw wewnętrznych było wysłuchane w komitecie ministrów, który nie widział przeszkód do pozwolenia Towarzystwu na rozpoczęcie swej działalności.

Wnioski ministra spraw wewnętrznych posłużyły za podstawę do postanowienia komitetu w tej sprawie. Opracowano też projekt przepisów, przyczem jeden z artykułów projektu głosi, iż wszelkie rozporządzenia i czynności komitetów Towarzystwa mogą być odrzucone przez ministra spraw wewnętrznych razem ze wszystkimi swymi skutkami, a nadto minister ma zakomunikować odpowiednim władzom gubernialnym wskazówki specyalne o sposobie formowania list emigrujących żydów, wydawaniu im świadectw emigracyjnych i dopilnowaniu wyjazdu tych, którzy takie świadectwa otrzymali.

Na tych zasadach powstało Najwyżej zatwierdzone dnia 8 (20) maja postanowienie komitetu ministrów, które zezwala „Żydowskiemu stowarzyszeniu kolonizacyjnemu“ rozpocząć działalność w państwie ruskiem przez założenie podległych mu komitetów: centralnego w Petersburgu i miejscowych w innych miastach, dla ułatwienia emigracyi żydów.

LIBERUM VETO.

Przybycie „wełny.“ — Co to jest wełna w karnawale letnim. — Kilka słów o jarmarkach. — Zmowa przeciw producentom, umożliwiona ich niewytrzymałością pieniężną. — Koty igrające z myszami. — Uchwała Towarzystwa wyścigów konnych. — Wolnoć Tomku w swoim domku. — Los zapisu Katarzyńskiego. — Zagadka prawno-społeczna, wymagająca objaśnienia. — Wykup kolei Terespolskiej.

Ażeby odpowiedzieć na pytanie, czy „wełna“ licznie przybyła do Warszawy i zostawia pod jej nożycami obfite runa, trzeba być albo restauratorem, albo sprzedawcą win i wszelkiego zbytku, albo wreszcie jedną z tych pań, które w pierwszych dniach po sprowadzeniu się do kosztownego mieszkania sprawiają na stróżach wrażenie „hrabiniów.“ Rozumie się, nie mówię tu o „wełnie“ w wańtuchach, przywiezionej na doroczny jarmark, ale o „wełnie“ w kortach, przyjeżdżającej na „karnawał letni.“ Ta ostatnia bardzo często jest sama swojem stadem owiec i baranów, tak samo, jak niejeden „sportsman“ i gracz totalizatorowy jest jedynym swoim koniem. W społeczeństwie naszem jest ogromna masa ludzi, którzy za wyłączne zadanie swego życia uważają: bawić się i błyszczeć. Nie rekrutują się oni z żadnego szczególnego stanu, należą bowiem do nich: arystokraci, mieszczaństwo wyższe i niższe, szlachta, literaci, urzędnicy, fryzyerzy, subjekci sklepowi i t. d. Wszystko poczytuje sobie za święty obowiązek być na pierwszem (koniecznie na pierwszem!) przedstawieniu każdej sztuki, przy totalizatorze wyścigowym udawać sportsmenów, podczas jarmarku wełnianego — hodowców, wskakiwać w każdy wesoły wir ludzki, nie pamiętać o jutrze, nie zwracać uwagi na nic, co płoszy uśmiech i mąci zadowolenie. Mogą w około nich grasować wszystkie plagi egipskie, może miliony ludzi nawiedzić głód, zaraza, wszystkie nieszczęścia, oni nie przestaną myśleć nad tem tylko, gdzie się zabawić i roztoczyć pawi ogon. Rzecz naturalna, że fryzyerczyk lub kantorzysta może udawać sportsmana, ale nie „wełniarza.“ Do tej roli potrzeba pewnej twarzy, pewnego wyglądu, pewnych wreszcie stosunków; więc występują w niej przeważnie szlachcice. Niektórzy z nich przywożą po kilka wańtuchów, ale najgłośniejsi, najbardziej znani handlom win i „hrabiniom“ nie przywożą nic, gdyż wełnę dawno żydom sprzedali na miejscu, a na jarmarku chcą tylko dobrze puścić kilkaset rubli, pożyczonych od lichwiarzów lub wydobytych z jakiejś rodzinno-dobroczynnej kieszeni.

Otóż czy tego rodzaju „wełna“ przybyła teraz do Warszawy liczniej Stępkowski, Boquet, Józio, Manie itd. wiedzą, ale nie odzywają się w pismach publicznych, pomimo że każdy słuszny głos opinii może u nas łatwo znaleźć w prasie telefon dla rozmówienia się ze społeczeństwem. Muszę przeto tak ważną kwestyę pozostawić otwartą.

Natomiast pozwolę sobie powiedzieć kilka słów o wełniarzach innego rodzaju — hodujących owce. W tej chwili jarmark dopiero rozpoczął się, dowozy jeszcze nie ukończone, a ceny wątpliwe. Przebieg wszakże targu można z doświadczenia przewidzieć dokładnie: kupcy będą nabywali mało i obniżali ceny znacznie; przy końcu jarmarku pozostanie masa wełny niesprzedanej, której część znaczna zapomocą rozmaitych pośredników przejdzie potem do rąk fabrykantów bardzo tanio. Tak było dotąd nietylko z wełną, ale również z chmielem. Wytwórcy spotykają się ciągle na rynku ze zmową kupców, którzy ich gnębią i ostatecznie pokonywają zwłoką i solidarnem licytowaniem *in minus.* W tym fakcie odbijają się dwa charakterystyczne rysy: z jednej strony ogólnie dziś w świecie handlowym panująca zmowa, jako najskuteczniejszy środek walki o ceny, z drugiej — ekonomiczna albo raczej pieniężna słabość naszych wytwórców-ziemian. Ci ostatni — z bardzo nielicznymi wyjątkami — są to ludzie albo odłużeni, albo luźnie związujący koniec z końcem, a w każdym razie niewytrzymali — że tak powiem — na dłuższe przechowywanie swego towaru. Oni potrzebują po wyprodukowaniu zboża, wełny, chmielu itd. zaraz je sprzedać, nie mogą ani upatrywać pomyślnej chwili, ani przetrzymywać kupca, stoją wobec niego z nożem na gardle. On o tem wie nawet wtedy, jeśli przyjeżdża na jarmark z Niemiec lub Francyi, wie, że hodowca owiec ma do zapłacenia w Towarzystwie kredytowem ratę pożyczki, podatki, najem itd., że z wysiłkiem sprowadził do Warszawy swój produkt odległą i kosztowną drogą, że odwiezienie ładunku z powrotem pociągnęłoby za sobą dotkliwą stratę — czyż więc wobec tej ofiary, zdanej na łaskę i niełaskę nabywcy, kapitalista nie skorzysta z położenia i nie wyzyska go z najtwardszem okrucieństwem? Nie byłby... człowiekiem. W obu zeszłorocznych jarmarkach—chmielarskim i wełnianym — uwidoczniło się to niemal skandalicznie. Ziemianie zwieźli do Warszawy masę towaru po naszych słynnych drogach i kosztem naszych słynnych taryf na to tylko, ażeby fabrykanci i piwowarzy przespacerowali się między szeregami wańtuchów i oświadczyli, że kupować nie będą. Zapewne w Anglii lub Francyi tego nie robią.

Dla zrodzenia projektu potrzeba tylko possać trochę palce i zaczernić kawałek papieru; ponieważ jednak takie motylki

pofruwawszy przez parę dni między kolumnami prasy, zamierają bezpożytecznie, więc nie chcę ich zbogacać nową odmianą i uczyć naszych producentów, co mają czynić dla zwalczenia mocarzów rynku. Jest to bowiem sprawa zbyt powikłana i wymagająca osobnej wiedzy praktycznej. Zdaje mi się jednak, że ani sekcya rolna Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, ani pisma stojące na straży większej własności, nie straciłyby daremnie czasu i atramentu, gdyby zajęły się tym przedmiotem. I zaręczam, że właściciel Chudej Wólki byłby im nierównie wdzięczniejszy za dobrą radą w tym kłopocie, niż za rozpościeranie nad ich głowami rozmaitych „sztandarów.“

Żywię szczerą sympatyę do ludzi konsekwentnych nawet najpośledniejszego rodzaju i wolę ich, niż te cudaczne zlepki, które dla każdego wypadku mają odmienną logikę. Towarzystwo wyścigów konnych jest instytucyą wielkopańską, która wprawdzie pozwala tłumowi gapić się na swą zabawę, lecz ani myśli i nie ma żadnego obowiązku uwzględniać jego wymagań. Na ostatniem zebraniu członków wzięto pod obrady skargę „dam,“ które z niskich lóż parterowych nie widzą ścigających się koni. Otóż postanowiono wznieść osobną, podwyższoną trybunę, do której będą miały wstęp tylko panie, należące do rodziny członków Towarzystwa. Uchwała ta nie przypadła do smaku lożowym plebejuszom. „Każdy płacący za zajmowane przez siebie miejsce — powiadają oni przez usta *Kuryera* — ma prawo do pewnej sumy wygód. Dlaczegoż za rubla, zapłaconego przez X., wolno jej będzie siedzieć w loży, z której nie będzie nic widziała, jeżeli za takiego samego rubla p. Y. mieć będzie miejsce, urządzone z komfortem i pod każdym względem wygodne?“ Dla bardzo prostej przyczyny: bo pani Y. należy do „towarzystwa,“ które urządza igrzyska przedewszystkiem dla siebie i które — jeśli mu się podoba — zamknie arenę przed plebsem. Trzeba więc: albo złączyć się z niem przez członkowstwo, albo zadowolić się gorszem miejscem, albo omijać wielkopańską rozrywkę. Kto nie chce być upośledzonym, niech nie lezie tam, skąd go wypraszają lub gdzie go jedynie tolerują. Wyścigi nie są instytucyą społeczną, równouprawniającą jednako wszystkich, opłata za możność przypatrywania się gonitwom koni nie jest podatkiem obowiązującym przymusowo; jest to zamknięty klub, którego członkowie grają tak w konie, jak w karty — z tą tylko różnicą, że grają publicznie i pozwalają tłumowi sprawiać sobie tę samą przyjemność — na boku. Że więc dla swoich „dam“ stwarzają osobną, uprzywilejowaną trybunę, to jest najzupełniej naturalne i logiczne. Nielogicznem natomiast i nierozważnem nazwać trzeba szykanowanie igrzysk końskich, drwiny z totalizatora i namiętności stajennych, a jednocześnie dobijanie się o wygodne miejsca na wyścigach. Nie właźcie między bawiących się panów, a nie będziecie przez nich potrącani i lekceważeni. Chłop, który z dziedzińca przygląda się przez szyby balowi dworskiemu, nie żąda, aby go zaproszono do salonu. Czyńcie jak on.

Kapitalista należność ubezpieczoną na hipotece wiejskiej wpisuje dziś na *Verlustconto* i nie zaprząta nią sobie głowy. Niedawno jeszcze było inaczej, i dla tego zmarły dr. Katarzyński, legując warszawskiemu Towarzystwu dobroczynności 10,000 rs. na dobrach Liszno w pow. skierniewickim, wierzył, że daje mu tę sumę. Tymczasem, jak wiadomo, atrament, którym zapisane są długi na hipotekach wiejskich, zaczął w ostatnich latach blaknąć, a tu i owdzie zupełnie niknąć. Tu jednak zdarzył się wypadek dziwny. Towarzystwo dobroczynności, ratując swoją wierzytelność, stanęło do licytacyi i nabyło sprzedawane dobra. Ale — tak opowiada *Kuryer warszawski* — „zgłosił się p. R., który z mocy przysługującego mu prawa postąpił $^1/_4$ szacunku“ i odkupił majątek. „Po *porozumieniu się* z Towarzystwem dobroczynności zaproponował zapłacenie *połowy* zapisu... Wskutek odbytych narad postanowiono *przyjąć* propozycyę p. R. i upoważniono mecenasa Grabowskiego do spisania stosownego aktu rejentalnego.“ Albo wiadomość jest niedokładna, albo stało się coś, o czem filozofowie dotąd nie śnili. Bo przecież jeśli p. R. „postąpił“ $^1/_4$ szacunku,“ to obowiązany był według prawa zapłacić wszystkie długi, tą podwyżką objęte, a więc i należność Towarzystwa. Na co więc tu było potrzebne „porozumienie się,“ a nadewszystko przepołowienie zapisu — nie pojmujemy. Mniemamy, że instytucya, której powierzono fundusz przeznaczony na cele dobra publicznego (stypendya) wyjaśni nam tę zagadkę prawno-społeczną i sprostuje doniesienie, które poprostu podaje fakt w wysokim stopniu gorszący. Już daleko zajechaliśmy w kierunku ujemnym z naszemi hipotekami wiejskiemi — czyżbyśmy jeszcze nadużycia posuwali aż do rabowania ofiar z ołtarza dobroczynności zapomocą kruczków subhastacyjnych? Trudno pogodzić się z tą myślą, a może trzeba?

W zeszłym tygodniu spełnił się fakt doniosły dla naszego życia ekonomicznego i społecznego — droga żelazna Terespolska przeszła z rąk akcyonaryuszów prywatnych w posiadanie rządu. Jest to pierwsza kolej państwowa w Królestwie Polskiem. Od dnia 13 czerwca nowa dyrekcya objęła nad nią władzę na warunkach, które czytelnicy znajdą w doniesieniach urzędowych dzisiejszego numeru *Prawdy*. Jakie znaczenie mieć będzie ta zmiana pod względem ekonomicznym — trudno dziś przewidzieć; prawdopodobnie, jeśli linia ta — jak twierdzi *Warsz. Dniewnik* — przez wykup dalszej (aż do Moskwy) będzie połączona z nią i utworzy jedną Moskiewsko-Warszawską, zostaną zaprowadzone na niej w wyższej mierze te opłaty różniczkowe za przewóz towarów, które obecnie stanowią podstawę nowej taryfy. Nowy dyrektor, p. Izmajłow zaczął już sprawować swoje obowiązki.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

WIELKOMIEJSKI HANDEL MIĘSEM.

Ukazanie się wielkich miast znamionuje istotną rewolucyę stosunków wymiennych w zakresie środków spożywczych. Nagromadzone w nich na niewielkiej przestrzeni setki tysięcy ludzi spożywają jedynie wytworzone gdzieindziej artykuły żywności, a to z góry każe już przypuszczać istnienie odpowiednio rozległego dowozu. Dopóki środki komunikacyjne były nieliczne, kosztowne i niedogodne, pewne miasto mogło wzrastać w ludność tylko wtedy, kiedy czyniło zadość różnym wymaganiom — np. leżało nad spławną rzeką, umożliwiającą łatwy dowóz artykułów żywności, a przytem usadowiło się w okolicy bogatej od przyrody. Wielkość jego była wprost zależna od obecności takich warunków. Wiek pary, powołując do życia swoją potężną technikę, zniósł to wszystkie szranki przyrodzone i wzrost miast uczynił niezależnym od położenia geograficznego. Miejscowości odległe dostarczają im dzisiaj swoich produktów, a koleje umożliwiają obfity dowóz. To też z wielkiemi miastami powstają w życiu społecznem szczególne stosunki spożywcze, a z literatury ekonomicznej, poświęconej zbadaniu konsumcyi wielkomiejskiej możnaby utworzyć wcale pokaźną biblioteczkę. Rozumie się, te lub inne, większe lub mniejsze cyfry produktów jakiegoś rodzaju, spożywanych w wielkiem mieście, są rzeczą, względnie mało pouczającą. Natomiast daleko inne już znaczenie posiada organizacya samego dowozu. Mamy tutaj do czynienia ze wzorami, mało znanymi szerszej publiczności, a jednak nader doniosłymi, gdyż one to właśnie zwolna podważają najbardziej zachowawczą i nieruchomą stronę dzisiejszych stosunków rzeczowych w społeczeństwie, mianowicie drobną rutyniczną uprawę roli i drobną hodowlę bydła, a jednocześnie pojęcia prawno-polityczne. Korzystając ze świeżej pracy d-ra Levy, umieszczonej w ostatnim zeszycie kwartalnika Schmollera, przyjrzyjmy się jednej dziedzinie organizacyi spożywczo - miejskiej — rynkowi mięsnemu *). Wprawdzie wspomniana praca posiada pewną, a z naszego stanowiska znaczną wadę: rozbiera ona jedynie stosunki istniejące w Berlinie, a tymczasem stolica Rzeszy niemieckiej zgoła nie przedstawia całokształtu tych nowych wzorów, jakie tu i owdzie ukazały się już w zakresie organizacyi dowozu produktów mięsnych.

Z góry można przewidzieć, iż w wielkiem mieście jesteśmy dalecy nie tylko od małomiasteczkowego zwyczaju, kiedy miejscowy rzeźnik sam czyni wycieczki do sąsiednich wiosek i nabywa tam wołu lub kupuje go osobiście podczas tygodniowego targu, ale nie widzimy tu również stosunków, panujących w mieście średnich rozmiarów, kiedy pomiędzy rzeźnikiem a producentem mięsa staje już specyalnie temu poświęcający się pośrednik. W wielkiem mieście organizacya ta staje się niewystarczającą; ów dawny pośrednik, handlarz bydła, jeżdżący po bardzo dalekich niekiedy okolicach, nie posiada najmniejszej możliwości zjawiania się osobiście na rynku i traktowania z rzeźnikiem. Występuje potrzeba jeszcze dalszego pośrednika, który staje się w gruncie rzeczy istotnem ogniskiem organizacyi całego dowozu i posiada osobne nazwy, zapożyczone ze świata stosunków giełdowych, np. consignera w Anglii, komisyonera w Niemczech. Przyjrzyjmy się jego siedzibie, na której jest wszechwładnym panem. Produkty tego rodzaju, jak masło, zboże, cukier, wełna pozwalają na stworzenie drobiazgowej klasyfikacyi, tak, iż w tej samej nomenklaturze każda cząstka wagi niewolniczo przypomina inną. Przy sprzedaży na wielką skalę nabywca nie potrzebuje oglądać kupowanego zapasu, dość mu umówić się o nomenklaturę lub traktować na podstawie dostarczonej próbki. Odbywa się to na giełdzie towarowej. Mięso, o ile występuje w postaci żywego bydlęcia, czyni takie postępowanie niemożliwem. Tutaj, jeżeli stoimy na gruncie dzisiejszych stosunków, gdzie każde gospodarstwo rolne stwarza okazy odmiennej rasy i wypasu, pojedyncza sztuka różni się od innej i nabywca potrzebuje umawiać się o każdy okaz oddzielnie. Zamiast więc gmachu giełdowego mamy przed sobą jeszcze dawne targowisko, gdzie sprzedawany towar jest obecny. Tylko, zgodnie z wymaganiami życia wielkomiejskiego, targowisko to posiada rozmiary olbrzymie. Berliński *Viehhof* rozsiadł się na przestrzeni niemal 5 włók naszych (dokładnie 144 morgów), a samo kupno gruntów pochłonęło wcale pokaźną sumkę przeszło 650 tysięcy marek. Koszta wzniesienia potrzebnych budynków, na targu oraz poblizkiego szlachtuza, jeżeli odtrącimy wynagrodzenie, wypłacone prywatnym zakładom tego rodzaju, wyniosły przeszło 11 milionów marek. Targowisko rozpada się na pomniejsze, dla wołów na przestrzeni $6^1/_4$, tyleż dla baranów i t. d. Przerznięte w różnych kierunkach $13\frac{1}{2}$ kilometrami szyn kolejowych, łączy się ono z sieciami dróg żelaznych całej Europy. Gmach giełdowy, urząd pocztowo-telegra-

*) *Die organisation des Berliner Vieh und Fleischmarktes*, zeszyt drugi.

ficzny i inne podobnego rodzaju urządzenia wskazują, że znajdujemy się w jednym z pulsów tegoczesnego życia wymiennego. Celem spełnienia rozmaitych czynności zorganizowano na targowisku istotną armię, zróżniczkowaną na różne stopnie i zajęcia. Mamy tu około 26 urzędników municypalnych, których nazwy przypominają nam dawne godności dworu z czasów feudalnych, a zatem specyalistów od paszy, stajni itd., a nadto cały szereg nowych; poza tem 115 najemników mężczyzn i 23 kobiet — palaczy, zamiataczy, wagowych i in., wreszcie cały zastęp zaganiaczy z kilkuset osób, urządzony hierarchicznie ze 100 ober-zaganiaczami na czele. Rozmiary personelu, zatrudnianego w szlachtuzie municypalnym, są również znaczne. Obok szlachtuza powstał cały szereg zakładów, użytkujących z odpadków a niemożliwych w dotychczasowej drobnej produkcyi mięsa. Znajdujemy tu fabrykę albuminu, z której odpadków przygotowywane są sztuczne nawozy, łojarnię, kiszkarnię i flaczarnię, których nazwy wyrażają odpowiednią specyalizacyę, solarnię skór, przedsiębiorstwo nawozowe itd. Tysiączna armia rzeźnicza, wyspecyalizowana znowu w różnych zajęciach, spełnia wymagane czynności.

Otóż istotnym władcą na całej tej przestrzeni, o ile idzie o stosunki wymienne, jest właśnie ów „komisyoner." On trzęsie giełdą targową, kieruje czynnościami rozproszonych w dalekich zakątkach Niemiec handlarzów bydła, udziela im wskazówek, jakie okazy winni nabywać, załatwia sprzedaż. Przeznaczone na handel sztuki, wchodząc na targ, odrazu dostają się pod opiekę tego lub innego z 30 panujących w Berlinie pośredników i nie wychodzą z pod niej, póki nie zostaną komuś dalszemu sprzedane do zabicia. W ten sposób przez ich ręce przechodzi rocznie około dwustu tysięcy wołów i cieląt, pół miliona świń i jeszcze większa ilość baranów. Armia zaganiaczy pracuje na ich żołdzie, a nadto dają oni jeszcze zatrudnienie całemu sztabowi urzędników kantorowych. Znając te stosunki zewnętrzne, możemy się teraz przyjrzeć samej organizacyi dowozu mięsa. Jak nadmieniliśmy, komisyoner jest tu najgłówniejszą sprężyną, wprawiającą w ruch wszelkie inne. Na dole z jednej strony znajduje się bezpośredni hodowca mięsa — rolnik. Niegdyś, przy małym rynku, był on świadom panujących na nim stosunków. Dzisiaj ma do czynienia z wielkimi. „Rolnik nie zna rynku, wie on tylko, ile go kosztowało bydlę i ile winien na niem zarobić. Niekiedy nie jest nawet o tyle posunięty w kupiectwie, ażeby przy tych obliczeniach nie popełnić błędu. Tymczasem handlarz zna rynek dokładnie, a nadto położenie, w jakiemś znajduje się rolnik." Otóż ów pośrednik wie, że są pewne pory roku, kiedy rolnik bardzo potrzebuje pieniędzy. Zjawia się on wtedy przed nim i kusząco pokazuje mu sakiewkę, naładowaną złotem, obiecując dać mniej lub więcej obfitą zaliczkę za taką lub inną sztukę, a nawet całą zapłatę, byleby ziemianin wypasł ją należycie do określonego terminu; niekiedy znowu kupuje dla niego okazy wychudzone na wypas. Rolnik zwolna dostaje się w szpony handlarza, który go do siebie przykuwa złotemi, lecz niezrywalnemi kajdanami kredytu, i staje się maryonetką, która tem łatwiej mu ulega, im mniejszą ma posiadłość. Wtedy zachodzi szczególna zmiana. Dotychczas w małem miasteczku spożywca jadł mięso nie takie, jakie chciał, lecz jakie się zdarzyło. Właściciel ziemski wiedział, że każdy okaz, przeznaczony na sprzedaż dla zabicia, będzie kupiony prędzej lub później. Teraz pod wpływem fali wymiennej, odbiegającej od wielkiego miasta, pewność ta znika. Miasto stawia swoje wymagania, żąda ono mięsa soczystego a mało tłustego, tego lub innego smaku. Warunkom tym czynią zadość albo okazy w pewnym wieku lub też szczególne rasy. Handlarze bydła, wiedząc o tych żądaniach na podstawie wskazówek komisyonerów, stawiają je rolnikowi, podobnie jak czynią to właściciele cukrowni względem plantatorów buraków. Hodowla zaczyna odzwierciedlać w sobie wszelkie wahania się smaku spożywców, a ponieważ jest to dziedzina, jak wszystkie rolne, mało podatna do przystosowania się, handlarz, wywoławszy pewne zmiany w okolicy, za nowym podmuchem mody podniebiennej zwraca się ku innej, gdzie odpowiednie stosunki w danej chwili już istnieją.

W ten sposób hodowla ulega ciągłemu rewolucyonizmowi i bankructwom, a w wirze ruiny giną przedewszystkiem najbardziej nieruchome grupy — włościańskie. Ostatecznym wynikiem tego jest pomyślny rozwój specyalnych folwarków, poświęcających się jedynie wypasowi bydła. Handlarz kupuje bydło na swoje imię i wysyła je do wielkiego miasta, gdzie oddaje do rąk komisyonerowi. Atoli kiedy w małem lub średniem miasteczku zna on rozmiary rynku, na którym panuje sam jeden, lub, jeśli ma współzawodników, może obliczyć rozmiary ich działalności, tymczasem na targowisku wielkomiejskiem zostaje pozbawiony wszystkich tych korzyści. Jest on jednym z wielu tysięcy; wie, że jego współzawodnicy są rozproszeni po olbrzymiej przestrzeni i że każdy podobnie skupuje, lecz z tych ogólnych wiadomości niewiele odnosi on pożytku praktycznego. W każdej chwili może się zdarzyć, że wszyscy oni nadeślą na targ wielkomiejski taką obfitość żywego mięsa, iż potrzeba będzie kilku tygodni, ażeby ono zostało pochłonięte. Jeżeli nastąpi to podczas niespodzianych upałów, wywoła skutki dotkliwe. Proceder dawniej pewny, staje się teraz pełen niespodzianek. Wytrzymać te ciosy mogą jedynie firmy wielkie, rozporządzające setkami agentów, a dzięki swojemu znaczeniu panujące na rynku. Okazy, kupione przez nich zawczasu, oczekują swojej chwili w oborze hodowcy, póki drut telegraficzny nie przyniesie rozkazu natychmiastowego wysłania. Atoli takich firm jest niewiele. Cała masa handlarzy składa się z drobnych kapitalistów. Komisyoner jest ich bankierem. Pożycza im pieniądze na kupno bydła, które bierze w komis. Sam nic nie traci, a zawsze korzysta. W ten sposób tłumy bezpośrednich handlarzy pracują na niego i są w gruncie rzeczy zamaskowanymi jego najmitami, ponoszącymi wszystkie następstwa niepewności jutra. Komisyoner zajmuje podobne stanowisko i względem drugiego odłamu — tych, którzy kupują za jego pośrednictwem u handlarzy (a raczej u niego) bydło do rznięcia. Zaznaczmy naprzód, że wielkie miasto wprowadza i tutaj drobiazgowy podział zajęć i procederów. Ukazują się wielcy rzeźnicy, którzy hurtem kupują bydło, i drobniejsi, którzy od nich nabywają mięso już gotowe. Jedni, z dzielnic zamożniejszych, biorą tylko jedne, inni — inne części; jedni takie, inni inne gatunki mięsa. „W całym procederze spostrzegamy niezmierne zaoszczędzanie czasu, siły i materyału. Jakaż to korzyść dla średnio zamożnego rzeźnika, który dotychczas trzymać musiał pewną liczbę najemników, aby zabić kilka wołów lub świń, który teraz czyni to u hurtowych rzeźników, a swój zakład obsługuje przy pomocy taniej siły kobiecej! Nie potrzebuje dbać o sprzedaż złych kawałków." Otóż zwykle, z wyjątkiem olbrzymich przedsiębierców, rzeźnik znajduje się w ręku komisyonera, od którego bierze sztuki na kredyt. W ten sposób ten ostatni znowu jest panem, a cały jego interes skłania go do obdzierania skóry z rzeźnika. Nie dziw też, iż według obliczeń 40% całego dochodu ze sprzedaży mięsa pozostaje w ręku tego pośrednika. Rządzi on na wszystkie strony i jedynie wielkie firmy rzeźnickie i nabywcze oraz wielkie hodowle bydła unikają skutków tej władzy. To też pod wpływem tych stosunków centralizacya w dowozie mięsa postępuje szybko. Komisyoner zamienia się z jednej strony na olbrzymią firmę nabywczą, a niekiedy, jak w Ameryce, hodującą, mając wtedy do swego rozporządzenia trzody z miliona sztuk, z drugiej zaś — staje się on jednocześnie rzeźnikiem na wielką skalę, a dawni drobni zamieniają się na straganiarzów, sprzedających wyprodukowane u niego mięso. Stosunki takie w Berlinie dopiero wyłaniają się, w Ameryce zaś rozwinęły się do tego stopnia, iż pojedyncze miasto otrzymuje gotowe już mięso w ochłodzonych wagonach z kilku ognisk produkcyi rzeźniczej, niekiedy o setki kilometrów. Berlin w rozwoju organizacyi dowozu mięsnego wyprzedził inne miasta pod jednym względem—municypalizacyi targowiska i szlachtuzu, a dzięki temu rozwinął w silnym stopniu kontrolę sanitarną, niemożliwą w produkcyi drobnej. Każda sztuka ulega rewizyi i odbywa w razie cech podejrzanych kwarantannę, nadto po zabiciu jest badana pod mikroskopem. Około 400 osób znalazło tutaj zajęcie, w tej liczbie 220 „mikroskopistów." Możemy z całą śmiałością powiedzieć, że tylko przy takiej wielkiej produkcyi, umożliwiającej zorganizowanie kontroli, człowiek po raz pierwszy zdobył pewność spożywania zdrowego mięsa.

Powyższy obrazek organizacyi dowozu mięsa doskonale wskazuje stosunki, wywoływane przez wielkie miasta w zakresie wymiany, a także produkcyi artykułów żywności. Życie społeczne zostało jakby rzucone w olbrzymią odlewnię, z której wypływa silnie zmienione, ażeby znowu uledz oddziaływaniu w tym samym kierunku. Ogromna centralizacya, czyniąca możliwemi różne ulepszenia i wszelką kontrolę, doprowadzająca taniość do bajecznej normy, pozwalająca człowiekowi panować nad siłami przyrody—oto są kształty wzorów, według których układają się stosunki społeczne. Chodzi tylko o to, ażeby tą centralizacyą kierowała nie ręka wielu dbających o swoją kieszeń przedsiębiorców, lecz zorganizowana wola społeczna.

K. R. Ż.

ROZUMNY GŁOS.

P. Suligowskiemu, który podjął sprawę taryf kolejowych, trzeba przyznać wszystkie przymioty najrzadziej u nas spotykane: wiedzę, pracę, energię i praktyczny rozum. Jak wiadomo, taryfy te są tak ułożone, że dają znaczne ulgi i korzyści transportom z odległych, wschodnich okolic państwa ze szkodą dla zachodnich. Otóż p. Suligowski naprzód tę sprawę gruntownie zbadał, następnie wiarogodne materyały umiejętnie opracował, a wreszcie pojechał do Petersburga i w tamtejszem Towarzystwie popierania przemysłu i handlu rozprawę swoją odczytał. Bardzo ona zajęła i poniekąd zadziwiła słuchaczów, a hr. Ignatiew, prezes Towarzystwa, zrobiwszy wykładowi tylko ten zarzut, że ogranicza się na krytyce i nie podaje wskazówek zmiany, uznał jego wielką zasadność i zezwolił na utworzenie komisyi, mającej zająć się tym przedmiotem, do której powołano również p. Suligowskiego.

Właśnie z tą rozprawą p. S. zaznajomił przed kilku dniami warszawską sekcyę rolną Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Przytoczymy kilka ważniejszych punktów. Dla uwydatnienia różnic taryfowych podzielił on państwo na trzy strefy: 1) gubernie wschodnie, nadwołżańskie, 2) gubernie południowe, rozłożone nad morzami Czarnem i Azowskiem i 3) Królestwo Polskie. Według danych, poczerpniętych z departamentu rolnictwa, cena ziemi

w pierwszej grupie za dziesięcinę wynosiła (w latach 1887—8) 47 rs. 9 kop., w drugiej 56 rs. 16 k., w trzeciej 82 rs. Koszta produkcyi: w pierwszej 21 rs. 23 kop., w drugiej — 26 rs. 7 kop., w trzeciej — 43 rs. 15 kop. Opodatkowanie: 51 k. — 48 k. i 3 rs. 80 k. Ceny puda żyta (za normę wzięto ziemię żytnią) wynosiły w tych obwodach: 41⅔ k. — 50 k. i 66 k.

Różnice tych cyfr są bardzo wymowne, a zarazem stanowią naturalny wynik odmiennych stosunków ekonomicznych, których usunąć niepodobna i które przyjąć trzeba za podstawę w układaniu taryf transportowych. Gdyby obecne, różniczkowe (za miejscowy przewóz zboża pobiera się $^1/_{24}$ kop. od puda-wiorsty, a za idące z Cesarstwa $^1/_{200}$ kop.), które obdarzają przywilejami okolice dalekiego wschodu, miały się utrzymać trwale, w ciągu lat kilku — według p. S. — rolnicza produkcya Królestwa nie wytrzymałaby takich warunków i musiałaby upaść. Jednocześnie zaś z obniżeniem się cen zboża na rynkach tutejszych spadałyby one w Cesarstwie, a korzyść z tej ruiny wyciągnęłyby tylko towarzystwa transportowe (koleje).

Efekt osiągnięty przez p. S. śród słuchaczów warszawskich, chociaż najzupełniej zasłużony, ma dla samej sprawy mniejsze znaczenie, niż występ szanownego ekonomisty w petersburskiem Towarzystwie, a zwłaszcza jego udział w wyznaczonej komisyi. Nie wątpimy, że on z tą samą gruntownością będzie tam bronił swoich wywodów, z jaką je przedstawił.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Wyrób krochmalu. *Tygodnik kolejowy* podał w nr. 24 zarys rozwoju przemysłu krochmalnianego w Królestwie Polskiem. Z pracy tej powtarzamy kilka ważniejszych szczegółów. Fabryki krochmalu zaczęły powstawać u nas pomiędzy r. 1860 a 1870. Przedtem wyrabiano go środkami domowymi. W r. 1865 i 1866 Szolten w Piotrkowie i Dutalis w Nowej Aleksandryi założyli dwie olbrzymie fabryki, przerabiające po 300,000 korcy kartofli. Jednocześnie powstały mniejsze fabryki pod Grójcem, Brzezinami, w Lubelskiem i Sieradzkiem. Wzrastały one i mnożyły się w miarę rozwoju przędzalnictwa. Prócz wymagań przemysłu, wpłynęła na powiększenie produkcyi krochmalu konkurencya zboża amerykańskiego, a wskutek tego i ograniczenie uprawy ozimin. Zamiast nich zaczęto sadzić na większą skalę kartofle. Ulepszenie produkcyi krochmalu posuwa się nader powoli i dotychczas jeszcze znaczny procent krochmalu pozostaje w kartoflach niewyzyskany. Pomimo to w tej gałęzi przemysłu istnieje nadprodukcya; fabrykują krochmalu więcej, niż go potrzeba na użytek miejscowy i na wywóz. Wogóle fabryk krochmalu w Królestwie Polskiem liczą obecnie około 20, przeważnie w gub. lubelskiej i piotrkowskiej; w pierwszej z powodu obfitości kartofli, w drugiej dzięki blizkości Łodzi i innych punktów fabrycznych. Roczna produkcya wynosi około 400,000 pudów, otrzymywanych z 350,000 korcy kartofli. Rynek łódzki zabiera z tego około 100,000 pud.; inni konsumenci drugie tyle. Pozostaje 200,000 pud., które w znacznej części są wywożone za granicę, a w części zalegają składy i wpływają na nadmierną obniżkę krochmalu. Krochmal nasz, jako tańszy od niemieckiego ze względu na ceny robotnika i kartofli, cieszy się popytem w Niemczech, Francyi i Anglii. Zyskowność wywozu zależy naturalnie od kursu rubla, który w ostatnich latach był dość dobry, a więc niekorzystnie wpływał na zyski producentów. Nader szkodliwie oddziałał w ostatnich czasach na fabrykacyę krochmalu zakaz jego wywozu za granicę z powodu nieurodzaju. Rok ostatni z wysokiemi cenami kartofli będzie decydującym dla niejednej fabryki, gdyż pomimo to, że cena korca kartofli, dochodziła 2 rs. i więcej, cena puda krochmalu nie przewyższa 1 rs. 80 kop. Zauważmy tu, iż z korca kartofli wyrabia się niewiele co więcej nad pud krochmalu. Kierownikami w fabrykach krochmalu byli dawniej niemcy, obecnie wszakże wykształcił się już praktycznie znaczny zastęp krajowców. Kampania trwa zwykle od października do kwietnia, rachując na dobę *minimum* 15 godzin.

— Kilku przedsiębiorców warszawskich otrzymało z Wiednia propozycyę dostarczania raków na rynki wiedeńskie.

— Fabrykacya kawioru wiślanego w Ciechocinku wciąż wzrasta; dziennie wysyłają stamtąd do Warszawy 15 pudów tego produktu.

— We wsi Malina pod Kutnem p. Majznerowa zaprowadziła hodowlę drobiu na znaczną skalę, a mianowicie posiada obecnie 2,000 kur i wysyła co tydzień do Warszawy około 100 kop jaj.

— Władza zatwierdziła ustawę dla drobnego przemysłu w Permie; ustawa ta ma być normalną dla innych tego rodzaju instytucyj.

— W Moskwie utworzył się komitet z kupców i przemysłowców do zawiązania bezpośrednich stosunków handlowych z Serbią. Fabrykanci łódzcy wysłali już poprzednio swoich delegatów w tymże celu do Serbii.

— Według informacyj *Moskowskich Wiedomosti*, znajduje się obecnie w obiegu 1,121,295,384 rs. kredytowych starego i nowego stempla.

— W gub. Półtawskiej zaczęto hodować nowy rodzaj zboża, gaolan, od dawna znany w Chinach. Roślina ta, nadesłana przez generał-gubernatora Kołpakowskiego, jest odpowiednia do klimatu europejskiego, a jej ziarna mogą służyć za pokarm dla ludzi.

— W Warszawie powstała świeżo fabryka wyżymaczek, wyrabianych całkowicie na miejscu.

— W zakładach Huta Bankowa odbywają się obecnie próby z aluminium; metal ten, stopiony w pewnym stosunku z żelazem, ma dać walcowane blachy, lżejsze od żelaznych, o mniej ulegające wpływom atmosferycznym.

Z rynku.

Targi warszawskie. 14-go czerwca. Na placu Witkowskiego dostawy wyniosły 600 korcy. Usposobienie mocne. Pszenicy wyborowej nie kupowano, z powodu wysokich żądań; średnia dobra 8 rs. — 8 rs. 35 kop. Żyta nie było wcale. Owsa 150 korcy; wyborowy 3,35, średni od 2,90. Pud siana 35—40 kop., słomy 25—27.

— Na st. Praga Terespolska usposobienie nie zmienione, pszenica i żyto spokojnie; owies mocno, gryka bez obrotów. W magazynach tranzytowych pozostają ogółem 754 wagony zbóż i produktów, w tem żyta 60 wagonów, owsa 123, kaszy jaglanej 219, pszenicy 105, jęczmienia 72, kukurydzy 67.

Wełna. Warszawa, 14 czerwca. Ożywienie na rynku znaczne; dowozy obfite. Sprzedano już parę partyj po cenach zeszłorocznych. Wiadomości mniej korzystne z jarmarków w Toruniu i Poznaniu zmieniły nastrój na wyczekujący. Wydajność wełny w r. b. jest mniejsza, wskutek chorób owiec, mniejszej ich ilości i nieurodzaju. Sprzedaż tryków idzie raźno.

Ceny okowity. Warszawa 8 czerwca. Brutto z potrąceniem 2%, hurtowa w. 100^0—11,29, w. 78^0—8,80, szynkowa w. 100^0—11,44, w. 78^0—8,92. Netto bez potrącenia: hurtowa w. 100^0—11,06⁴, w. 78^0—8,63; szynkowa w. 100^0—11,21, w. 78^0—8,74.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Wykup kolei Terespolskiej. Komitet ministrów wraz z departamentem ekonomii państwowej Rady państwa postanowił:

I. Przeprowadzić od 13 b. m. i r. wykup kolei Terespolskiej na zasadach, zawartych w wydanej dnia 21 października 1864 r. koncesyi tejże kolei.

II. Pozostawić p. zarządzającemu ministeryum komunikacyi: 1) przyjąć od 13 czerwca 1892 r. kolej Terespolską na rzecz skarbu z całym jej majątkiem ruchomym i nieruchomym, a w tej liczbie: szkołę techniczną i magazyny tranzytowe na st. Praga, wreszcie sumy w gotowiźnie, wykazane w sprawozdaniach zarządu do r. 1889 jako „fundusz akcyonaryuszów“; 2) jednocześnie z przyjęciem do skarbu kolei Terespolskiej usunąć z pod władzy Towarzystwa koleje rządowe, eksploatowane przez nie dotychczas, i 3) wydatki na eksploatacyę kolei w granicach budżetu na r. 1892 pokrywać w ciągu tegoż roku z dochodów *brutto* wzmiankowanej kolei, a jednocześnie w porozumieniu z ministeryum finansów i kontrolą państwa asygnować z tych dochodów niezbędne sumy na koszta odbioru linij itd.

III. Do zrewidowania sprawozdań zarządu co do eksploatacyi kolei wyznaczyć następujące terminy: rezultaty wzmiankowanej rewizyi powinny być ogłoszone przez kontrolę państwa radzie Towarzystwa najpóźniej w ciągu 9 miesięcy od daty złożenia sprawozdania z eksploatacyi za r. 1891 i pierwsze pięć miesięcy 1892 r.; uwagi rady zarządu co do rezultatów rewizyi winny być złożone w kontroli państwa w ciągu najpóźniej trzech miesięcy po otrzymaniu wniosków rewizyjnych; ostateczna wreszcie decyzya rewizyjna powinna zapaść w ciągu następnych trzech miesięcy.

IV. Poruczyć p. ministrowi finansów: 1) w ciągu najpóźniej trzech miesięcy po ostatecznej uchwale rewizyjnej wystąpić do komitetu ministrów z projektem zatwierdzenia warunków renty za wykup kolei i przeprowadzić ostateczne rachunki z zarządem; 2) przy przeprowadzaniu wykupu kierować się ściśle według brzmienia koncesyi oraz ustawy Towarzystwa kolei Terespolskiej, z warunkiem: a) aby akcye Towarzystwa były wymienione na papiery państwowe, według których wypłacana będzie renta; następnie zarówno akcye, jak i świadectwa dywidendowe (akcye pożytkowe), będą skasowane i wogóle wszelkie stosunki akcyonaryuszów do kolei ustają; b) aby przy oznaczaniu renty wykupu z dochodów *brutto* za lata 1885—1891 odliczone zostały wydatki na eksploatacyę kolei oraz sumy na opłatę procentów i amortyzacyę kapitału obligacyjnego, wreszcie od zaliczeń na rachunek dodatkowego kapitału obligacyjnego, ponieważ wszelkie spłaty w zakresie tych kapitałów i zaliczeń, z chwilą przejścia kolei na rzecz skarbu, stanowią obowiązek państwa; c) aby utrzymanie rady administracyjnej nie było zaliczone do obowiązków skarbu od dnia złożenia w kontroli państwa sprawozdania Towarzystwa.

V. Zobowiązać radę Towarzystwa: a) do porobienia w terminie dwutygodniowym od ogłoszenia Najwyższego ukazu o wykupie kolei trzykrotnych ogłoszeń w *Prawit. Wiest.* oraz w wymienionych w art. 15 ustawy Towarzystwa czasopismach, celem wezwania wierzycieli kolei do zgłaszania się ze swemi pretensyami i b) do złożenia w ciągu najpóźniej 3 miesięcy przed terminem, oznaczonym do zamknięcia rewizyi kolei, w kontroli państwa wszelkich informacyj o nowych pretensyach wierzycieli z uwagami zarządu.

VI. Oświadczyć Towarzystwu kolei Terespolskiej, że nie jest ono pozbawione możności szukania na zwykłej drodze obrony przed sądem, jeżeli uważa, że interesy jego w czemkolwiek zostały na szwank narażone przy wykupie kolei na rzecz skarbu.

W dniu 24 kwietnia (6 maja) r. b. podczas uśmierzania ulicznych rozruchów w m. Łodzi, z domu pod nr. 321 przy ul. Konstantynowskiej padły dwa strzały rewolwerowe, skierowane na pluton 7-ej kompanii 37-go Ekaterynburskiego Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Aleksego Aleksandrowicza pułku piechoty, który transportował do koszar aresztowanych wichrzycieli porządku.

Strzały te, jak stwierdzono po szczegółowem zbadaniu, padły z mieszkania właściciela domu Józefa Kołodziejskiego.

Jakkolwiek nie wykazano żadnej zasady do obwinienia Kołodziejskiego w rzeczonem przestępstwie, które pociąga za sobą ciężką karę, a nadto przekonano się, że Kołodziejski z całą swoją rodziną znajdował się wtedy na parterze w swoim sklepie, — jednakże zważywszy: 1) całą ważność rzeczonego faktu, 2) że w każdym razie pozostawienie przez Kołodziejskiego w czasie rozruchów ulicznych mieszkania swego na 1-m piętrze bez żadnego dozoru jest nie do wybaczenia, gdyż przez to dostarczył on sposobności zakraść się do tego mieszkania obcemu człowiekowi, który dał wmknowane strzały, i 3) że wogóle, w podobnych wypadkach, wszelka odpowiedzialność za porządek i spokój w domach spada na gospodarzy — Jego Ekscelencya Główny

Naczelnik Kraju, z mocy nadanego mu prawa, decyzyą, zapadłą dnia 5 (17) maja r. b. za nr. 75, wymierzył na właściciela domu w m. Łodzi, Józefa Kołodziejskiego, karę pieniężną w wysokości rs. 500.

Kara ta, wniesiona przez Kołodziejskiego do kasy powiatowej łódzkiej za kwitem z dnia 11 (23) maja r. b. nr. 5,809, do depozytu gubernatora piotrkowskiego, włączona została do ogólnego kapitału więziennego, przeznaczonego na urządzenie ogólnych miejsc zamknięcia.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Na ostatniem posiedzeniu piotrkowskiej komisyi gubernialnej do spraw fabrycznych wyjaśniono, że bez decyzyi sądu nie można dokonywać potrąceń z zarobku robotników przy ich wydalaniu z fabryk. Ustawę kasy przezorności dla pracujących w fabryce towarzystwa akcyjnego „Zawiercie,“ jako niezupełnie zgodną z przepisami obowiązującemi, komisya piotrkowska postanowiła odesłać do rządu gubernialnego. Tejże fabryce zabroniono wydawania robotnikom marek do sklepu Towarzystwa, gdyż robotnicy często sprzedawali te marki niżej wartości; zamiast tego zezwolono na kredytowanie robotnikom w sklepie Towarzystwa na książeczki imienne.

— Uczestnicy kasy oszczędności przy magistracie warszawskim w liczbie 41.464, posiadali w tej kasie dnia 13-go b. m. 1,758,639 rs. 36 kop. kapitału.

— W r. b. ma być dokonany w Piotrkowie spis jednodniowy mieszkańców tego miasta.

— W tych dniach wyruszyły lub wyruszą pierwsze partye słabowitych dzieci do Ciechocinka, Leszna i Rudy Pabianickiej. Podział dzieci na pojedyncze kolonie już ukończony. Okazało się, że pozostaje jeszcze 120 dziewcząt i 80 chłopców, dla których jest zapewnione pomieszczenie, ale brak inwentarza, zagospodarowania i funduszu na utrzymanie. Potrzeba na to jeszcze około 1,500 rubli.

Szkoły. Dnia 13-go b. m. odbył się popis i akt zamknięcia roku szkolnego w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych, Ze sprawozdania, odczytanego przez dyrektora Instytutu, dowiedzieliśmy się, że wskutek kilku zapisów, budżet roczny, wynoszący dotychczas 63,997 rs. 5 kop., znacznie się powiększył. Ukończono bowiem dochodzenia o zapis 25,000 rs., uczyniony przez [illegible]ntkowskiego, oraz otrzymano legaty po 6,000 rs. od Celiny Bielińskiej i Józefa Oranowskiego, oraz [illegible] rs. od ks. Chojeckiego, prócz jednorazowego zasiłku od skarbu w ilości 3.000 rs., na spłatę długów. Liczba uczniów, zamieszkujących w internacie przy pl. Trzech Krzyży, wynosiła w ubiegłym roku szkolnym 201, a mianowicie: głuchoniemych 78 dziewcząt i 98 chłopców, ociemniałych 10 dziewcząt i 24 chłopców; przychodnich do oddziałów równoległych przy ulicy Piwnej 34 głuchoniemych (20 dziewcząt i 14 chłopców). Patenta z ukończenia kursu otrzymało 11 uczennic i uczniów. W r. b. dnia 23-go października przypada 75-ta rocznica założenia Instytutu przez ks. Jakóba Falkowskiego, a 50-ta założenia przy nim oddziału dla ociemniałych przez ks. J. Szczygielskiego. Z tego powodu ma być wydana książka jubileuszowa Instytutu.

Zjazd. Dnia 12, 13 i 14 lipca r. b. odbędzie się w Krakowie zjazd chirurgów.

Zdrowie publiczne. Od dnia 29-go maja do 9-go b. m. zmarło w Warszawie 288 osób (po 144 każdej płci), czyli więcej niż w tygodniu poprzednim o 72. Najwięcej zmarło na katar kiszek (41), suchoty (33) i zapalenie płuc (32). W stosunku do 1.000 mieszkańców zmarło 27,14 osób; w r. z. w odpowiednim tygodniu stosunek ten wynosił tylko 16,09.

Pożary. W Mątwach pod Inowrocławiem zgorzała fabryka sody, którą wywożono głównie za granicę wschodnią.

— We Włoszczowie w gub. kieleckiej spaliło się 40 domów i 50 stodół. Straty około 80,000 rs.

Samobójstwa. Inżynier Plebański, pomocnik naczelnika dystansu kolei Wiedeńskiej, zastrzelił się w Sosnowicach.

— Fabrykant łódzki Kweitsch odebrał sobie życie.

Wypadki. Aeronautka Grossman, spuściwszy się w Berlinie z balonu *captif* ze spadochronem, który się nie otworzył, z wysokości 500 metrów wpadła do wody i poniosła śmierć na miejscu.

Bibliografia. R. Buchanan, *W chwilę po śmierci*, powieść, tłom. A. Krzyżanowski, str. 146, Warszawa, Paprocki.

— B. Stowe, *Podjadki szczęścia rodzinnego*, powieść z przedmową Estel, str. 168, Warszawa, Paprocki.

— J. Rogosz, *Grabarze*, powieść, dwa tomy, str. 259 i 192, Warszawa, Paprocki.

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29 Дозволено Цензурою, Варшава 5 Іюня 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.